BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Łosice, Dojlidy Złote! Maciej Podgórski str. 7

W szeregach SA Artur Jastrzębski str. 8-9

PARLAMENT W M-4 Marek Adam Jaworski str. 2

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 14 XII 1975 NR 25 (589) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

VII ZJAZD PZPR

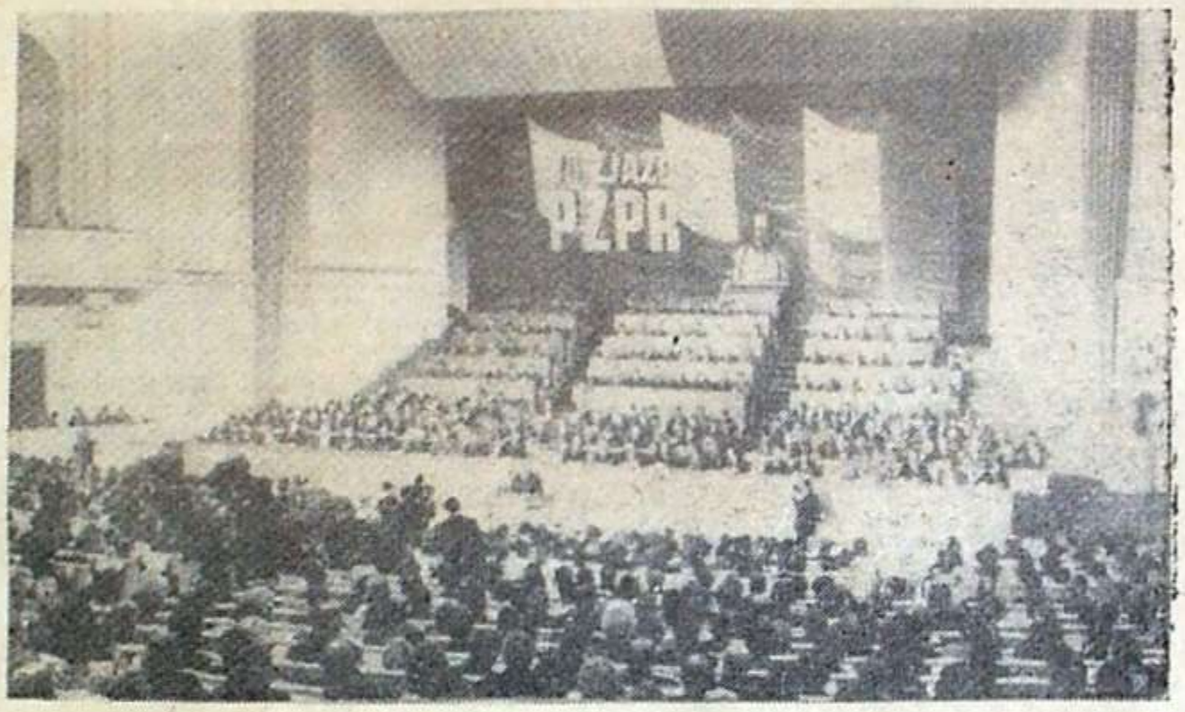

Trudna droga do węgla

Jerzy Dostatni

INŻYNIER Tadeusz Kołcz zakreślił w powietrzu wielki prostokąt i powiedział: tu właśnie widzę pierwszą elektrownię. Inżynier widział pewnie szczegółowe plany narysowane na kilogramach papieru, może nawet w tej chwili był kimś w rodzaju wizjonera. Ja widziałem tylko zielony las, niezbyt stary, ale gęsty, pełen soczystej zieleni, przebijającej przez osiadłe na gałęziach płaty pierwszego śniegu. Nic się tam jeszcze nie działo jeżeli nie liczyć wąskiego pasa wyrębu przy prowizorycznej drodze, wyłożonej grubymi płytami żelbetu, wytrzymującymi nacisk wielkich samochodów, spychaczy i koparek.

Elektrownia Bełchatów I — 12 turbin po 360 megawatów każda, razem 4320 megawatów w pierwszym etapie, 5040 w drugim. I elektrownia Bełchatów II — 10 turbin po 360 megawatów. W sumie największa elektrownia Polski Ludowej: 8640 megawatów, około 50 miliardów kWh energii elektrycznej rocznie. Wszystko ze spalania 2 miliardów ton węgla brunatnego, wydobywanego systemem odkrywkowym. Pierwszy blok energetyczny ruszy w 1980 roku, akurat wtedy, gdy inne już istniejące elektrownie nie mogłyby pokryć zapotrzebowania naszych mieszkań, fabryk, szkół czy szpitali.

O Bełchatowie mówi się i pisze już od lat kilkunastu. Najpierw szukano tam ropy naftowej, a znaleziono węgiel brunatny. Potem trzeba było zbadać dokładnie zasoby, ich położenie i wartość, wreszcie opracować koncepcję wykorzystania. Pierwsze wstępne, a właściwie przedwstępne prace rozpoczęto ponad dziesięć lat temu, ale potem z różnych przyczyn zamierzoną inwestycję przerwano, nie zaniedbując jednak badań naukowych i opracowania szczegółów całej koncepcji ich wykorzystania. W roku ubiegłym prace znów podjęto, jeszcze przed wydaniem odpowiedniej uchwały Rady Ministrów, ale już na serio i na wielką skalę.

Wbrew pierwszemu wrażeniu, inż. Kołcz, dyrektor elektrowni Bełchatów I (nazywanej też elektrownią we wsi Rogowiec), jest realistą zakochanym w

Dokończenie na str. 4—5

KAZIMIERZ MA WIELU PRZYJACIÓŁ

Zygmunt Mikulski

DWA sposoby „ustawienia" działalności towarzystwa miłośników miasta są niesłuszne. Według pierwszego towarzystwo grupuje przede wszystkim historyków sztuki i wtedy miłość wyraża się przesypywaniem z ręki do ręki architektonicznej biżuterii w postaci gzymsów, rozet i kartuszy. Drugi to werbowanie możliwie największej ilości osób z branży planowania i budownictwa, by umiłowanemu miastu możliwie najszybciej zapewnić pozbycie się umiłowanej szaty zewnętrznej. Zdaje się, że Kazimierz ma szczęście do koncepcji trzeciej, która omija krańcowości poprzednich: ani muzealna gablota, ani plac budowy wieżowców. Są ludzie, którzy słysząc o trudnościach uzyskania kredytów dla Kazimierza, ukradkiem zacierają ręce, bo w ten sposób mają gwarancję, że na oślep pędząca urbanizacja ominie to miejsce z natury przeznaczone do wypoczynku i cichej zadumy poetyckiej.

Właśnie o tym bardzo przekonująco na uroczystości pięćdziesięciolecia Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza mówiła autorka „Dwóch księżyców", wybitna pisarka Maria Kuncewiczowa: zachowajcie indywidualność miasta. Jest względnie łatwo przydziałem finansowym zapewnić mu i bary mleczne i punkty noclegowe i całą tę turystyczną aparaturę, która ściągnie pstrokaciznę pobieżnych zaciekawień, ale właśnie w tym miejscu nie na tym rzecz polega. W planowaniu przyszłości Kazimierza należne miejsce powinny zachować „malownicze śmiecie", przecież tradycją już tu zadomowione. Tu też doszło do rzadkiego socjologicznego zjawiska, a mianowicie koegzystencji bohemy artystycznej z drobnym rzemiosłem: malarze rozstawili sztalugi wykonane przez kazimierzowskich stolarzy. Wniosek: „mała Mekka turystów" niech zyskuje baedekerowską atrakcyjność, ale nie kosztem autentyku, który tu ma swe latami zagwarantowane prawo.

Kazimierz jest już tak obrysowany, obmalowany i opisany, że aktem niezwykłej śmiałości musiałby się stać zamiar dodania choć kreski, czy litery do tej artystycznej dokumentacji, jaką to miasto posiada. Jeśli coś ze studiów architektonicznych miałoby na ten temat powstać, musiałoby być lepsze od prac Karola Sicińskiego. Jeżeli wiersz — lepszy od strofy Józefa Czechowicza w której

wisła ogromna mając ramiona
założone pod głowę

leży na wznak
śpi

Jeżeli wspomnienie, to zawierające więcej sztambucha od „Spotkań z Kazimierzem" Konrada Bielskiego, którego pamięć zachowała wiele romantycznych, sentymentalnych, ekstrawaganckich scen z teatru tego miasta. Mimo to usiłowania nie ustają. Kilka lat temu wypadałoby wymienić nazwisko Razgoura, który zapewniał, że tylko w dwóch miejscach na świecie potrafi malować: w Paryżu i w Kazimierzu. Ze względu na specjalny koloryt powietrza. Widocznie istnieje coś takiego, jak ciel de Kazimierz.

W jakim sensie życzyć zamkowi na nowiu (to herb Kazimierza) lat stu, dwustu i pięciuset? Przecież nie w tym, by powstało jak najwięcej asfaltowych ulic, lamp jarzeniowych i miejsc ze strzeżonym parkingiem. Nowoczesność bardzo ostrożnie niech się zbliża do ruin i attyk. I to by nawet była formułka jubileuszowa. Towarzystwu natomiast nie potrzeba życzyć niczego. Ma już tak gorących miłośników miasta, tak przepojonych kazimierskim patriotyzmem działaczy, tak przychylną aurę ze strony władz wojewódzkich, że nie życzyć, lecz propagować ten przykład wypada. Co w poczuciu dziennikarskiego obowiązku niniejszym czynimy.

OD HAMBURGA DO MONACHIUM (V)

PARLAMENT W M-4?

Marek Adam Jaworski

BONN — to kolejny etap mej podróży po Republice Federalnej Niemiec. Pociąg zatrzymuje się na małej stacji kolejowej. W pierwszej chwili, choć dużo o Bonn czytałem, trudno mi uwierzyć, że znajduję się już w stolicy. Kiedy wychodzę z wagonu i patrzę na mizerny budynek dworcowy, zdziwienie pogłębia się. Gdzie ja, za przeproszeniem, jestem? W Piotrkowie Trybunalskim?

Ładnie wydany informator p. t. „Willkommen in der Bundesrepublik Deutschland" próbuje wyjaśnić dlaczego w 1949 roku właśnie Bonn stało się stolicą nowo powstałego państwa zachodnioniemieckiego. Wówczas wiele czynników przemawiało za Frankfurtem nad Menem, znakomicie usytuowanym, bogatym w tradycje.

Miasto znacznie ucierpiało w czasie wojny, fakt, ale nie to było najistotniejsze, kiedy zapadła decyzja na korzyść Bonn. Po prostu Frankfurt stanowił siedzibę zwycięskich aliantów. Źle by się więc stało — to myśli zawarte w informatorze — gdyby nowy rząd, który dopiero musiał sobie zdobywać zaufanie, mieszkał pod tym samym dachem, co władze okupacyjne...(!)

No dobrze, wiemy już, dlaczego nie Frankfurt awansował do rangi stolicy. Ale podstawowe pytanie, dlaczego awansowało Bonn, pozostaje właściwie w informatorze bez odpowiedzi. A jest ona bardzo prosta: blisko Bonn, w Rhoendorfie, mieszkał Konrad Adenauer. Twórca zachodnioniemieckiego państwa niechętnie myślał o opuszczeniu swej prywatnej posiadłości. Ostatecznie zdołał przekonać większość deputowanych, że Bonn znakomicie nada się na stolicę, tym bardziej, że będzie to tylko... prowizorka. Ćwierćwiecze tej „prowizorki" obchodzono w ubiegłym roku...

Dzisiejsze Bonn to właściwie dwa miasta: stare z uniwersytetem, domem, w którym urodził się Beethoven, XI-wiecznym kościołem (są, oczywiście, i późniejsze) i pięknym centrum handlowym, oraz nowe, które częściowo też jest stare. Wyjaśnię, w czym rzecz. Kiedy miasto stało się stolicą, zaczęto szukać miejsc, w których możnaby ulokować poszczególne urzędy, instytucje etc. Prezydent urządził się w willi „Hammerschmidt", a kanclerz w pałacu „Schaumburg", który w ubiegłym wieku należał do kupca materiałów tekstylnych. Po śmierci owego kupca ulokowało się tam małżeństwo książęce: Adolf Wilhelm Victor i Friederike Amalie Wilhelmine Victoria. (Oszaleć można z tymi imionami!). A jeszcze później pałac przeżywał wielkie dni rozpusty: szalał tu rosyjski emigrant Zubkow i jego przyjaciółka, bardzo utytułowana — siostra cesarza Wilhelma. W 1939 roku pałac przeszedł na własność hitlerowskiego państwa, następnie zajęli go alianci, by go znów w 1949 roku oddać prezydentowi nowego państwa.

Prezydent, kanclerz, może, przy dobrej woli, urzędować i w M-4, ale spróbujmy w M-4 usadowić parlament! Na ten cel musiano poświęcić Akademię Pedagogiczną, zbudowaną w latach 1930-1932. Ciasno tu było potwornie, toteż ostatecznie zadecydowano postawić biurowiec, aby deputowani i ich sekretarki nie podusili się z braku tlenu.

Ów biurowiec i szereg innych budowli, wśród nich supernowoczesne centrum prasowe, tzw. „Tulpenfeld", czyli pole tulipanowe (niegdyś faktycznie były tu plantacje kwiatów) i — nieco dalej — siedziby centralnych władz SPD i CDU — to właśnie to nowe Bonn.

Żeby obraz był jaśniejszy, dodam, że miasto rozłożyło się wzdłuż Renu. Główną ulicą jest dawna Koblenzerstrasse, przemianowana obecnie na Aleje Adenauera. Pod Alejami ciągnie się metro, na którego budowę poszło niemało grosza. Co oszczędniejsi Niemcy jeszcze dziś krzywią się z niechęcią, uważając, że gra nie warta była świeczki. Miałbym nieco odmienne zdanie, choć, oczywiście, łatwiej mi je wyrażać, jako że ja w budowie tego metra nie partycypowałem. Wyobrażam sobie jednak, jaki by dziś panował ruch na Alejach Adenauera, gdyby o tym metrze wcześniej nie pomyślano.

Rzecz zrozumiała, że stolica nie może obyć się bez ministerstw. Na razie mieszczą się one w różnych punktach miasta, często w budynkach zupełnie do tego celu nieprzystosowanych. Ale i to ma się zmienić.

I wreszcie ambasady. Nie wiem, ile ich tu jest, ale chyba ponad setka. Nie tylko w Bonn, ale i w sąsiednich miastach, a właściwie miasteczkach, które straciły swój pierwotny charakter. Niemcy mają swoiste słowo: gemuetlich. Ten przymiotnik można przetłumaczyć na: przytulny, serdeczny. Odległe o siedem kilometrów od Bonn Bad Gotesberg, które staje się jakby przedłużeniem stolicy, jest już coraz mniej gemuetlich. Ale wiele wysoko postawionych osób ma tu ciągle swoje prywatne wille i pałacyki.

Napisałem te słowa i nie wiem teraz sam, czy czegoś tam nie poplątałem z tym pałacem „Schaumburg". Może to Friederike Amalie Wilhelmine Victoria szalała w epoce Republiki Weimarskiej z Zubkowem? Ale co się stało z jej mężem Adolfem Wilhelmem Victorem? W razie czego biję się w piersi, nikogo z tego towarzystwa nie znałem i nawet, gdybym miał najszczersze chęci, pod łożem z baldachimem bym nie czatował, bo po prostu nie było mnie na świecie.

Natomiast siedziałem w prywatnym mieszkaniu państwa Haliny i Edwarda Dylawerskich, stąpałem po dywanie zakupionym przez redakcję „Życia Warszawy", jako że Edward jest korespondentem tego dziennika a jego małżonka pisuje do „Interpressu" i niekiedy jej nazwisko panieńskie (Użycka) można spotkać nawet na łamach „Sztandaru Ludu". Z Halinką znamy się jeszcze z mych lat szczenięcych, pracowaliśmy w jednej redakcji, toteż i rozmowa szła gładko, choć może przeszkadzały w tym nieco wytrawne trunki, które Edward przytaszczył z kredensu i z domowej lodówki. Bardziej jednak niż białe i złociste napoje mąciła nam spokój telewizja. Korespondent zawsze musi mieć oczy i uszy otwarte, a tu, jak na złość, w tym właśnie dniu, czyli 17 września, odbywało się burzliwe posiedzenie Bundestagu, na którym wygłaszał przemówienie kanclerz Helmut Schmidt, przedstawiając decyzje, które miałyby zapobiec katastrofie finansowej państwa. Kanclerz stwierdził, że długa i wyjątkowo silna depresja w świecie kapitalistycznym ujemnie wpłynęła na sytuację ekonomiczną RFN, której eksport uległ wyraźnemu zahamowaniu. Oszczędnościowy program rządu opiera się na zasadzie, że każdy musi ponieść ofiarę dla uzdrowienia sytuacji finansowej państwa. Największych cięć dokonano w służbach publicznych oraz w ministerstwie pracy i spraw socjalnych. M. in. skreślono odprawę dla tracących pracę górników, ograniczono pomoc dla uczniów i studentów oraz dla osób, zdobywających kwalifikacje do innego zawodu. Ministerstwo oświaty i nauki, i tak raczej kopciuszek, musi pogodzić się z cięciami w wysokości 443 milionów marek.

Oczywiście te dane uzupełniam już teraz, gdy po pewnych przemyśleniach zdaję relację z podróży. Nie od rzeczy będzie też przypomnieć, że przemówienie kanclerza spotkało się z ostrą repliką ze strony opozycji CDU/CSU. Szef tej frakcji parlamentarnej, Cartens, zażądał nawet dymisji kanclerza, a kandydat na kanclerza, Helmut Kohl, starał się zdyskredytować politykę finansową koalicji SPD-FDP.

A swoją drogą w tej relacji telewizyjnej sporo było wrzasków i tumultu. Nasza chata skraju — powiedzieliśmy w końcu nie bez pewnej satysfakcji, pani domu przygotowała znakomite polskie potrawy i czuliśmy się wszyscy jakby nam kilkanaście lat ubyło. W ferworze dyskusji wypsnęło mi się jakieś brzydkie słowo, lecz Halina zgromiła mnie wzrokiem. Ich latorośl, nad Renem wychowywana, wśród różnojęzycznego towarzystwa się obracająca, będzie miała po powrocie do Polski solidne kłopoty przy lekturze współczesnej prozy. Ale dzieci rosną!

Mógłbym jeszcze opisać drugie spotkanie w domu państwa Kollatów, domu ciepłym i serdecznym, pamięć jednak zawodna. Fakt, że mogłem bezpośrednio połączyć się telefonicznie z Lublinem wzruszył mnie ogromnie. Europa diabelnie skurczyła się w drugiej połowie XX wieku.

I dlatego, że się skurczyła, z nieco drwiącym uśmiechem spoglądałem sobotniego wieczoru na obchody „Dnia ojczyzny", które odbywały się na bońskim Marktplatz, czyli Rynku. Było przemówienie, a jakże, na temat uciśnionych braci na Wschodzie. Zapewnienia, że „pamiętamy o krzywdzie". Hecę rewizjonistyczną przeplatał folklor. Dziesięciolatki śpiewały o niemieckim Opolu, orkiestra grała, a ja myślałem, po jakiego grzyba wciąga się do tego interesu dzieciaki. Pewną pociechę stanowił jednak fakt, że wśród widowni zbytniego zainteresowania owa zabawa nie wzbudzała. I ta widownia była raczej szczupła. Bardzo szczupła.

Tygodnik „Stern" z 21 sierpnia br. przyniósł artykuł pt. „Cudowne rozmnożenie". Warto zacytować fragmenty.

Dlaczego — zapytuje pismo — *wkrótce będziemy mieli prawie dwukrotnie więcej wypędzonych ze stron ojczystych* (tak tu się formułuje — przyp. MAJ) *niż rzeczywiście wypędzono ich ze Wschodu w 1945 r.?*

Ponieważ nasi politycy boją się wypędzonych, będziemy — także ci, których nigdy nie wypędzono — narodem wypędzonym. W 30 lat po exodusie Niemców ze Wschodu więcej obywateli federalnych ma status wypędzonego niż w 1945 r. Liczba ich stale wzrasta wskutek absurdalnych przepisów o dziedziczeniu.

Na przykład Adolf Heinrich von Armin, wyższy urzędnik w bońskim ministerstwie zdrowia, w 1945 r. musiał z żoną i trojgiem dzieci opuścić Pomorze, a więc pięcioro „klasycznych" wypędzonych. W Berlinie Zachodnim urodził się kolejny von Armin. On również — tak postanawia ustawa — jest wypędzonym, jakkolwiek Pomorza nigdy nie widział. Dzieci Arminów dały swoim rodzicom pięcioro wnuczat. Przyszły one na świat w Bonn, Berlinie (Zach), Monachium, a jedno w stolicy Kenii, Nairobi. Mimo to: znów pięcioro nowych wypędzonych — zgodnie z ustawą.

Tygodnik stwierdza, że zgodnie z ustawą o wypędzonych, status wypędzonego w „małżeństwach mieszanych" dziedziczny jest tylko wówczas, jeśli ojciec pochodzi z terenów wschodnich. Jednakże pod koniec 1973 r. Federalny Trybunał Administracyjny wprowadził zmianę: równouprawnienie zakłada, że również dzieci matki-uciekinierki należy uważać za „wypędzonych". *Dlatego* — pisze „Stern" — *mamy dzisiaj 15 milionów „wypędzonych" w stosunku do 10 milionów w 1965 r.; w 1985 r. będzie ich ponad 20 milionów, itd.*

Już dwa lata przed tym wyrokiem sądowym — kontynuuje „Stern" — *który nieuchronnie musiał prowadzić do cudownego rozmnożenia się wypędzonych, ówczesny minister spraw wewnętrznych (...) zapowiedział zniesienie paragrafów o dziedziczeniu. Ze względu jednak na głosy wyborców* (podkreślenie MAJ) *nie odważył się na to.*

Organizacje przesiedleńcze — kończy tygodnik — *począwszy od Związku Wypędzonych, liczącego 2,5 miliona członków, aż do Katolickiej Rady Uchodźców skupiającej 32 osoby, uczynią wszystko, aby utrzymać wygórowaną liczbę wypędzonych. Przyczyna jest następująca: na „zachowanie i rozwijanie spuścizny kulturalnej" otrzymują one pokaźne dotacje państwowe. W 1975 r. z samego tylko budżetu federalnego ministra spraw wewnętrznych wpłynie 3,4 miliona marek.*

Kropka. Sumując: partie polityczne polują na głosy wyborców, a spryciarze, uważający się za przywódców „wypędzonych" napełniają sobie kieszenie forsą. Truizmem będzie, jeśli dodam, że tego rodzaju praktyka nie służy zbliżeniu między oboma naszymi krajami.

Moi niemieccy gospodarze w RFN, z którymi na te tematy rozmawiałem, sprawę raczej bagatelizowali. Stwierdzali, jak np. dr Arnold, kierownik wydziału polityki kulturalnej w ministerstwie spraw zagranicznych, który mnie przyjął bardzo życzliwie, że przesiedleńcy to bardzo nieliczna grupa, choć na pewno hałaśliwa, że grupa ta nie ma żadnego wpływu na politykę zagraniczną RFN itp. Byłbym rad, gdyby te słowa miały większe potwierdzenie w faktach.

Trudno mi jednak zakończyć tę relację z Bonn bez cieplejszych akcentów. To miasto ma swój niepowtarzalny urok. To miasto po prostu można polubić.

Krążę wieczorem po wąskich uliczkach starej dzielnicy. Widać, że nie oszczędziła jej ostatnia wojna. Wiele domów jest starych tylko z pozoru.

Uniwersytet blisko. Sporo studentów ze skryptami. Wkuwają nawet przy piwie w piwiarni. A piwo znakomite. Dopiero pijąc je rozumie się, dlaczego RFN to kraj piwoszów.

W jednym miejscu, na środku deptaku, tańczy dwóch Murzynów. Ale jak tańczy! Trzeci przygrywa na jakimś instrumencie, prawdziwy afrykański folklor. Ale Murzyni mieszkają zapewne obecnie w RFN, wiele tu się nauczyli i dlatego nie uprawiają sztuki dla sztuki. Obok nich stoi pusta puszka po konserwie. Co chwila ktoś podchodzi (aż się dziwię, że tak wielu podchodzi, Niemcy słyną z oszczędności!) i wrzuca monety. I ja poświęcam symboliczną markę.

Wiele lokali otwartych do późnych godzin. Jest kuchnia włoska, chińska, argentyńska. Polską znajdę później w Monachium.

Ale ulice pustoszeją szybciej niż w Hamburgu. Bonn jest bardziej mieszczańskie, bardziej nobliwe, choć nocny klub zachęca do odwiedzenia. Dziękuję, nie skorzystam. Butelka piwa kosztuje 15 marek, czyli około 6 dolarów. A przecież handlują tu nie tylko piwem. Te samotne panie nie czekają zapewne na Godota.

Manhattan, jedna z pięciu głównych dzielnic Nowego Jorku, to najważniejsze w świecie kapitalistycznym centrum dyspozycyjne i finansowe. W Bonn mówi się, że „my budujemy teraz Bonnhattan". Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że Bonn stanowi ciągle „Bundesdorf" (w tłumaczeniu: federalna wieś). Mniejsza o to. W każdym razie potrawa o nazwie „Bauerfruehstueck" (śniadanie wieśniaka) smakowała mi w tym mieście, jak nigdzie. I chyba nie tylko dlatego Bundesdorf zawsze będzie mi bliższa niż Bonnhattan.

Autorami koncepcji, a częściowo już właściwej dokumentacji, tego osiedla są dwaj młodzi inżynierowie lubelskiego Inwestprojektu — inż. arch. Mirosław Zahuski oraz inż. arch. Józef Kołodziejczyk. Ludzie z pozoru spokojni, wewnątrz pełni dynamizmu, którzy nie utonęli jeszcze w schematach i typowych konstrukcjach, aczkolwiek jako tworzywo domów posłużyły im produkowane właśnie masowo prefabrykaty. Obaj są rdzennymi lubliniakami, obaj po ukończeniu Politechniki Warszawskiej powrócili do rodzinnego miasta, aby mu służyć swoją wiedzą, odwagą i fantazją. Osiedle zaś należałoby do Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej „Spółdzielca", największej w mieście spółdzielni własnościowej.

Niektórzy na dźwięk przymiotnika „własnościowy" mrużą jeszcze oczy zapominając, że obecnie każdy członek spółdzielni lokatorskiej może stać się w dowolnej chwili właścicielem swego mieszkania i że w przypadku „Spółdzielcy" budowa nowego osiedla oznacza — co tu ukrywać — wycofanie z rynku wcale pokaźnej liczby milionów złotych.

Projektanci nazwali osiedle zespołem mieszkaniowo-usługowym, jako że równocześnie miałby on pełnić te dwie funkcje, drugą zresztą nie tylko wobec mieszkańców zespołu czy najbliższej okolicy, ale nawet pokaźnej części całego centrum.

Czterysta trzydzieści dwa mieszkania, tysiąc siedemset mieszkańców, czterdzieści trzy procent mieszkań typu M-4 i trzydzieści procent typu M-5 (o powierzchni użytkowej 54 i 59 metrów kwadratowych) — oto podstawowe dane zespołu, uzupełnione ponad dwunastu tysiącami metrów kwadratowych przeznaczonych na usługi.

Stańmy nad brzegiem Bystrzycy i popatrzmy przed siebie przyszłościowo. Tuż przed nami dwie jezdnie nowej ulicy Bulwarowej, od której jedno odgałęzienie pobiegnie do ul. M. Buczka, drugie do tunelu wychodzącego na ul. Hanki Sawickiej, trzecie na ul. Górną i dalej do ronda u zbiegu tej ulicy, Narutowicza i Okopowej, pod którym już są czynne przejścia podziemne dla pieszych.

Ale nam chodzi o osiedle, czyli zespół. Gdzieś w połowie skarpy, wysokiej do dwudziestu metrów — wielka żelbetonowa płyta. Od góry stanowi ona główny ciąg pieszy, od dołu tworzy dach nad czymś w rodzaju parkingo-garażu dla ponad trzystu samochodów osobowych. Tuż nad płytą zgrupowane w trzech zespołach budynki niskie od trzech do siedmiu kondygnacji, wyżej i w środku akcenty wysokościowe w postaci bloków o jedenastu i szesnastu kondygnacjach. Na parterach domów, przede wszystkim wysokich, liczne lokale usługowe. Ale nie wielkie salony i restauracje, lecz małe bary i kafejki, kluby i świetlice, boutiki z pamiątkami i bardzo specjalistyczne, które będą wabiły ludzi z całego miasta. Tzw. mała architektura zaciszne kąciki, [illegible] rzeźbę terenu, stworzy gole i tarasy. Takie nieco [illegible] altanki, perkątki, dla zakochanych i emerytów, [illegible] zarosłych.

Cała to koncepcja jest zgodna z planem szczegółowym zagospodarowania przestrzennego śródmieścia Lublina, zatwierdzonym przed kilku laty przez wszystkie możliwe instancje. Nie sprzeciwia się jej miejski konserwator zabytków — chodzi tu o wprowadzenie nowych elementów do panoramy miasta widzianej z kierunku południowo-zachodniego. Więcej — koncepcja wykracza poza sam zespół, również zgodnie z planem zagospodarowania. Obejmuje bowiem uporządkowanie chaotycznie zabudowanej zachodniej strony ul. Górnej, a także terenu poza hotelem Victoria. Ma tam powstać swego rodzaju zielone wnętrze, w nim z jednej strony przedszkole i przychodnia zdrowia, obsługujące znacznie większy rejon niż ów zespół, z drugiej parking dla osiemdziesięciu samochodów hotelowych, którego ten wciśnięty pomiędzy inne budynki hotel praktycznie w ogóle nie posiada. Problemem staje się niewątpliwie zburzenie biurowca, w którym znajduje się Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego.

Może warto jeszcze dodać, że nie będzie kłopotów z wyposażeniem nowych mieszkań we wszelkiego rodzaju usługi komunalne, albowiem główne ciągi odpowiednich instalacji, łącznie z ogrzewaniem i gazem, przebiegają albo przez teren samego osiedla, albo w jego najbliższym sąsiedztwie.

Budowa dwóch pierwszych budynków zespołu „Podgrodzie" ma się rozpocząć na wiosnę. Nazywa się to dość eufemistycznie pierwszym etapem. Jest to jakaś iskierka nadziei, ale tylko iskierka. Rzecz bowiem potyka się o dwie sprawy. Z jednej strony Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa, która od 1 stycznia będzie inwestorem zastępczym wszystkich spółdzielni w województwie, rozliczać się winna nie z romantycznych zaułków na Podgrodziu i rozpoczęcia rekonstrukcji śródmieścia, ale z liczby mieszkań oddanych do użytku. Mieszkania te zaś znacznie łatwiej można uzyskać na Czechowie, czemu niewątpliwie przytakną budowlani. Z drugiej strony każdy dalszy budynek wymaga zbudowania przez miasto chociaż dwustumetrowego odcinka jednej jezdni ulicy Bulwarowej, na co miasto — budując dalszy ciąg trasy W-Z — nie bardzo będzie miało ochotę.

Myślę jednak, że przy dobrej woli i perspektywicznym spojrzeniu na istniejące w śródmieściu warunki można wydzielić jakieś środki na systematyczne realizowanie przedsięwzięcia, które obok ośrodka przy ul. Hempla stanowiłoby początek rekonstrukcji tego śródmieścia, co wydaje się rzeczą pilną i konieczną. Kto więc podejmie odważną decyzję?

POEZJA GRECKA

PRZEKŁAD - NIKOS CHADZINIKOLAU

Giorgos Themelis

MYŚLAŁEM OPUŚCIĆ

Myślałem opuścić ten martwy dom
Znaleźć schronienie na szerokim morzu
Cienie zapomnianych głosów zamieszkują go
Chrome lalki wędrują po schodach

Okno nagie w środku nocy
Wszystkie szyby już wypadły
Kawałki szkła zmieszane z kurzem

Jednak pozostaję i walczę by odnaleźć swój cień

Ślad starego zapomnianego słońca

Manolis Anagnostakis

ROZBICIE STATKU

Ja też pozostanę z wami w łodzi
Po wielkiej katastrofie i spustoszeniu
Statek już tonie daleko
(Gdzie są inne łodzie? Kto się uratował?)
My znajdziemy kiedyś skrawek lądu
Bezludną wyspę jak w książkach
Tam wokół wielkiego placu
Zbudujemy nasze domy
A na samym środku — świątynię.
W niej — wysoko — powiesimy portret
Kapitana, który zginął
Trochę niżej portret pierwszego oficera,
Pod nim drugiego
Zamienimy się kobietami i będziemy mieli dużo dzieci
Potem zbudujemy wielki szczelny statek
Nowy, zupełnie nowy i zwodujemy w morze.

Będziemy już starzy ale rozpoznają nas.

Tylko nasze dzieci będą inne.

---

z których będzie się ją pompować dzień i noc, w innych tylko kontrolować jej poziom. Razem jest tych studni około trzystu. Cała sztuka będzie polegała na tym, aby tzw. lej depresyjny obejmował zawsze ten teren, na którym prowadzi się eksploatację. Trzeba będzie wypompować tej wody kilkanaście metrów sześciennych na sekundę. Prawie połowę zużyje elektrownia, resztę otrzyma rolnictwo. I to w dwojakiej formie: w jedenastu wsiach, w których zniknie woda w studniach, zostaną zbudowane — za pieniądze wyłącznie państwowe — wodociągi, resztę wody poprzez sztuczne deszczownie rozprowadzi się po polach, aby ziemia nadal rodziła mimo sztucznego odwodnienia podłoża. Taka jest koncepcja, szczegóły mają opracować do połowy przyszłego roku ministerstwa Rolnictwa i Leśnictwa.

Niektórzy powiadają, że po wyeksploatowaniu węgla powstanie pod Bełchatowem największa dziura w Polsce! Wprawdzie nadkład po wywiezieniu pierwszych partii na tzw. zwałowiska będzie ponowne wsypywany do owej dziury, ale samego węgla nic już nie zastąpi. Ponadto wiadomo, że z usuwanego piasku będzie się rocznie produkowało około dwustu milionów jednostek ceramicznych cegły sylikatowej. Nie wrócą nawet pyły, wychwycone w kominach przez elektrofiltry, gdyż z nich właśnie wyrabiać się będzie różne prefabrykaty dla budownictwa. Nad sposobami rekultywacji owej dziury już dzisiaj więc głowią się specjaliści.

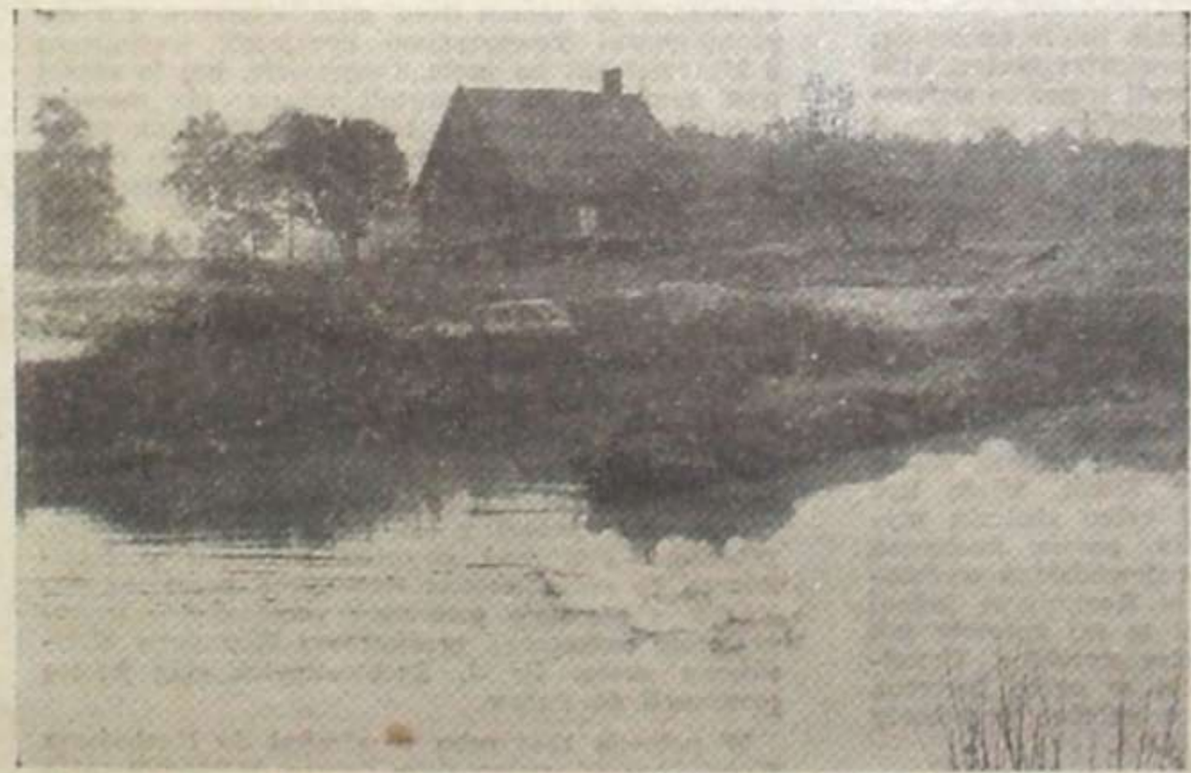

Rejon Bełchatowa to ubogi dotychczas rejon rolniczy — na zdjęciu jedno z tamtejszych gospodarstw. Wkrótce węgiel brunatny całkowicie zmieni ten sielski krajobraz

Do wielu kłopotów gnębiących budowniczych tej inwestycji dołączył się jeszcze brak linii kolejowej. Do najbliższej stacji jest ponad 30 km. Wprawdzie w stosunkowo niedalekiej przyszłości nowa linia ma przebiegać tuż koło Bełchatowa, ale dopóki to nie nastąpi wszystko musi załatwić transport samochodowy. Jak już ktoś policzył, w szczytowym okresie trzeba będzie zatrudnić ponad pięć tysięcy pojazdów mechanicznych — takiego taboru nie posiada dotąd żadne przedsiębiorstwo w kraju.

Na jednym z wielkich placów, pokrytym grubą warstwą betonu i asfaltu, leżą już olbrzymie stalowe odlewy. To fragmenty koparki węgla, jednej z największych w świecie, a ważącej siedem tysięcy ton. Sprowadzono ją z RFN, gdzie nasi specjaliści obserwowali jej pracę: przenosiła na samochody pięć tys. metrów sześciennych ziemi na godzinę. Polscy fachowcy coś do niej dodali, coś poprawili i wydobywać będzie 6 tys. metrów sześciennych, w ciągu roku trzydzieści trzy miliony. Będzie takich kilka. Od koparki do samochodów ziemię będą przenosiły polskie transportery o szerokości ponad dwóch metrów, węgiel zaś nieco mniejsze. Taśmy transporterów produkowane będą na miejscu, a długość tych używanych w Bełchatowie wyniesie do dziewięćdziesięciu kilometrów.

Ja tu wciąż o kopalni i elektrowni w Bełchatowie, a gospodarze województwa i miasta powiadają, że chodzi o Bełchatowski Okręg Przemysłowy. Rzeczywiście jedna inwestycja pociąga za sobą drugą. Więc opracowano już koncepcję owego BOP, obejmującą zarówno inwestycje przemysłowe jak i towarzyszące. Szczegóły właśnie się ustala, ale już dziś można powiedzieć, że w tym Bełchatowskim Okręgu Przemysłowym powstaną: fabryki odzieżowa i elektrotechniczna (dla kobiet), szpital na 800 miejsc, zespół szkół zawodowych, wspomniane już cegielnia i wytwórnia prefabrykatów oraz trzydzieści siedem tysięcy izb mieszkalnych wraz z pełnymi usługami. Już buduje się ciepłownię i doprowadza gaz. Zyska więc przede wszystkim Bełchatów, miasteczko dziś dziesięciotysięczne, ale także i Piotrków Trybunalski, od pół roku miasto wojewódzkie. Dla Bełchatowa opracowano już plan ogólny zagospodarowania przestrzennego, chociaż plan ten nie budzi entuzjazmu u wszystkich. A to dlatego, że do starego Bełchatowa, w którym przy wąskich uliczkach królują parterowe domki, często ze spróchniałego już drewna, po prostu dostawiono dwie nowe dzielnice. Osobiście sądzę, że plan ten trzeba będzie zweryfikować, bo trudno pogodzić się z tym, aby powstało miasto dwustandardowe, złe i bardzo dobre.

Myślę również, że Ministerstwo Budownictwa powinno co prędzej zainteresować się bliżej budownictwem mieszkaniowym. O ile bowiem inwestycje przemysłowe niejednokrotnie nawet wyprzedzają plany operatywne, o tyle budowa mieszkań opóźnia się coraz bardziej. W roku bieżącym miano oddać do użytku siedem bloków mieszkalnych, zaś według optymistycznych przewidywań gotowe będą tylko trzy. To już hamuje nabór ludzi, tak potrzebnych tej wielkiej inwestycji. Nie pomagają nawet prawdziwe autokary, nie autobusy, którymi PKS dowozi pracowników z dalekich nieraz okolic.

I nie tylko to. W Bełchatowie mieszka dziś ponad tysiąc ludzi więcej niż przed dwoma laty, i to ludzi dobrze zarabiających. Tymczasem w zakresie usług, do których zaliczyć trzeba przede wszystkim handel, nic konkretnego się nie zrobiło. Jak twierdzi dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, około czterdzieści procent środków przyznanych w roku bieżącym na ten cel nie będzie wykorzystanych. Po prostu przedsiębiorstwa budowlane są zbyt słabo wyposażone w sprzęt. A jeżeli chodzi o fabrykę domów to jeszcze nie zdecydowano ostatecznie, czy zbudować ją w Bełchatowie czy w Piotrkowie, bo każda z tych lokalizacji ma swoje plusy i minusy.

I tak oto na mapie gospodarczej Polski zaczyna wyrastać nowy okręg przemysłowy o znaczeniu ogólnokrajowym. Przygotowuje się również wieloplanowe działania, aby produkcja rolnictwa nie tylko utrzymała się na dotychczasowym — prawda że niskim — poziomie, ale by jej wzrost dorównał wskaźnikom krajowym. Nowa linia kolejowa, a właściwie magistrala wschód-zachód, jak również stworzony przy eksploatacji węgla potencjał rysuje dalekie nawet perspektywy rozwoju BOP. I to jest chyba prawidłowość naszych czasów.

Jerzy Dostatni

P.S. Rejon Bełchatowa obfituje także w bogate pokłady torfu. Ktoś zaproponował, aby z jego wydobyciem poczekać kilkadziesiąt milionów lat, gdy zamieni się w węgiel brunatny. Propozycji jednak nie przyjęto.

22 i 23 listopada br. odbywały się w Kazimierzu Dolnym uroczystości związane z 50-leciem powstania Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza, w których uczestniczyli I sekretarz KW PZPR w Lublinie, Ryszard Wójcik, [illegible] wysoki pawiciele władz wojewódzkich. Ramie imprezy znaw[illegible] sesja, podczas której omówiono podstawowe problemy planu gospodarczego rozwoju miasta w latach 1976—1980. Ponadto odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci inżyniera architekta Karola Sic[illegible]. Na jednym z roczzasłużone[illegible] zabrała głos Maria Kuncewi[illegible] — mówiła o sprawach miasta w tonie serdecznym i skłaniającym do głębszej refleksji.

Publikowany poniżej tekst pt. „Teatr w „Murce" wydobywa mało dziś już znany epizod powojennej historii Kazimierza, wspominając także o ludziach i sprawach bezpośrednio wiążących się z treścią jubileuszu TPK.

TEATR W „MURCE"

Ireneusz J. Kamiński

PO wojnie w Kazimierzu, który przez pół roku był celem frontowej strzelaniny, zanotowano: kilkadziesiąt procent zabudowy w gruzach, przetrzebiona ludność, nędza, zniszczone drzewa i spichrze nadrzeczne, dobrze widoczne z zajętego przez wroga Janowca. Zdumiewające — pocisk wybił dziurę w farze, spłonęła kamienica Gdańska, a stojące obok fundacje braci Przybyłów znów ocalały, żadna bowiem kula nie drasnęła świętych patronów i powierzonego ich opiece majątku. Można to nazwać przypadkiem, szczęściem czy jeszcze inaczej, nie będąc przecież pewnym, że wyjaśniło się sprawę — jeśli nie do końca, to przynajmniej dla spokoju ducha. Zdaje się, że wszystkie moce pracowały nad stworzeniem legendy Kazimierza.

Ulegały jej pokolenia malarzy i bardziej „zwyczajnych" ludzi, poddało się nadwiślańskiej mitologii pewne małżeństwo teatralne, które po wojennej tułaczce trafiło do Kazimierza. Inaczej nie można zrozumieć ich wyboru. Gdyby myśleli racjonalnie i pragmatycznie, szukaliby miejsca w Lublinie, Łodzi czy Krakowie, gdzie żyło się w końcu wygodniej i niezbyt długo czekało na satysfakcjonującą posadę. Inni twórcy urządzali się prowizorycznie w Ciechankach, gdzie PKWN uruchomił literatom dom pracy twórczej, który faktycznie pełnił funkcję schroniska dla bezdomnych pisarzy, kryjąc okresowo pod swym dachem Przybosia, Parandowskiego czy Bieńkowskiego. We dworze w Łańcuchowie, zorganizowanym na podobnych zasadach i prowadzonym przez Józefę Wnukową, dzielną matronę, która na święta Bożego Narodzenia z chleba lepiła talerze, przebywali plastycy. Irena i Tadeusz Byrscy wybrali przecież Kazimierz.

Absolwent „Reduty", znany przed wojną reżyser radiowy, Tadeusz Byrski po zainstalowaniu się w Kazimierzu zaraz przystąpił do organizacji Instytutu Artystycznego, skłaniając do współpracy A. Michalaka, który z J. Gosławskim, rzeźbiarzem, i J. Karmańskim symbolizował miejscowe środowisko twórcze. Cała sprawa była uzgodniona z Ministerstwem Kultury i Sztuki, które werbalnie i moralnie popierało wówczas każdą taką inicjatywę. W tym wypadku władze obiecały nawet subwencje.

Miasteczko serdecznie przyjęło Byrskich, burmistrz oznajmił, że rozumie, docenia i cieszy się; obywatele także nie stwarzali trudności, mało tego — cieszyli się, że znów usłyszą ze sceny słowo polskie. Trzeba bowiem wiedzieć, że Instytut Artystyczny miał profil teatralny.

Po urządzeniu się w willi Stefanii Sopoćkowej przy ul. Krakowskiej 37 (dzisiejsza „Murka"), wydzierżawionej resortowi kultury na lat pięć, w zamian za remont, Byrscy wysłali w Polskę pismo informujące o warunkach przyjęcia do Instytutu. Z tekstu wynika, że dyrekcja oczekiwała na młodzież płci obojga w wieku od 18 do 25 lat, mającą zamiłowanie do pracy w teatrze, dobry słuch, zdolności do tańca i sportu oraz zmysł organizacyjno-społeczny. Podstawową specjalizacją placówki jest teatr, kto skończy Instytut, ten będzie znał tajniki reżyserii, inscenizacji, aktorstwa i da sobie radę z organizacją zespołów ochotniczych (vel amatorskich, mówiąc dzisiejszym językiem). Oczywiście, kandydaci powinni wykazać się cenzusem co najmniej małej matury. Nauka trwa dwa lata i dzieli się na okresy: wstępny i dyplomowy. Pierwszy z nich, półroczny, nie daje większych uprawnień zawodowych, ot, można sobie później dorywczo prowadzić zajęcia świetlicowe. Kto jednak ukończy pełny, dwuletni kurs Instytutu, otrzyma dyplom i gwarancję pracy na szczeblu powiatu i miasteczka, gdzie będzie mógł prowadzić amatorskie zespoły teatralne. Nauka jest bezpłatna, ale za internat, który obowiązuje wszystkich, trzeba płacić 900 złotych miesięcznie; wysokość opłaty została *zorientowana w/g ceny żyta w Warszawie*. Najlepsi słuchacze mogą liczyć na stałe lub okresowe zwolnienie z opłaty.

Informacja jest szczegółowa, a przy okazji charakteryzuje naszą ówczesną biedę. Oto dyrekcja poleca kandydatom, aby zabrali z sobą: dwie zmiany bielizny osobistej, dziennej i nocnej, koc, dwie poszewki i tyleż prześcieradeł, dwa ręczniki, szczotkę do zębów i naczynie do płukania ust, talerze płytki i głęboki, łyżkę, nóż, widelec, łyżeczkę, kubek — ewentualnie filiżankę! Instytut Artystyczny w Kazimierzu nie posiadał nic poza budynkiem, łóżkami i kadrą wykładowców. W warunkach 1945 roku posiadał zatem wszystko.

Nie można powiedzieć, dyrekcja robiła co mogła, aby ulżyć kandydackiej doli amatorów teatru, którzy gdzieś tam w Polsce pakowali zapewne skromne bagaże, aby spieszyć do Kazimierza. Oto przez trzy dni poprzedzające rozpoczęcie zajęć przy dworcu w Puławach będzie na nich czekać bezpłatna furmanka, którą dotrą do willi pani Sopoćkowej.

Informację werbunkową kończy apel do władz powiatowych, organizacji i związków: wystawiajcie kandydatom rozkazy wyjazdu, które zapewnią im uzyskanie zniżek kolejowych!

Wysłali Byrscy pismo w świat i czekają. Ale 4 października 1945 roku, a więc w dniu planowanego rozpoczęcia zajęć, nikt nie pojawił się w Instytucie Artystycznym nad Wisłą. Miało być dwudziestu słuchaczy, a jest tylko siedmiu wykładowców, woźny, sekretarka, pomoc kuchenna i ktoś tam jeszcze. Żaden z wojewódzkich wydziałów kultury nie skierował do Kazimierza jednej choćby osoby. *Lublin milczał w tej sprawie jak zaklęty* — z goryczą stwierdza dyrektor. Urzędnicy z ul. Spokojnej ignorują w ogóle Instytut, nie odpowiadają na prośby o należne przydziały żywności i odzieży z puli UNRRA.

29 listopada zainaugurowano przecież rok szkolny. Z udziałem dwóch słuchaczy, którzy przyjechali na własną rękę, bez żadnych formalnych skierowań, bez rozkazów wyjazdu. Byrscy okazali się nieustępliwi, przyjęli politykę faktów dokonanych, nie zrazili się nawet dwoma napadami, których dokonano na budynek 20 września i 20 listopada.

Tymczasem Ministerstwo obcięło nagle subwencje o 60 procent, później o dalsze tysiące złotych. Nie mając możliwości programowego działania, Instytut Artystyczny przygarnął miejscową dzieciarnię. Na przełomie lat 1945/46 trzydzieścioro kazimierskich chłopców i dziewcząt z b l i ż y ł o się do teatru, występując po licznych próbach w 11 przedstawieniach „Pastorałek"; wszystkie rekwizyty zostały wykonane własnoręcznie przez młodzież. Ponadto Byrscy organizują odczyty dla ludności, otwierają czytelnię czasopism, cały ten okres pracując społecznie, bez wynagrodzenia, w jakimś [illegible] poważnie pojmują lansowane właśnie hasła demokratyzacji kultury, upowszechnienia jej wartości wśród mas ludowych.

Praca z młodzieżą trwa nadal, pomimo że jesteśmy bez pieniędzy i dosłownie głodujemy — notuje Byrski. Po trzech miesiącach Ministerstwo Kultury i Sztuki przestało przysyłać pieniądze. A przecież wszystko zostało wcześniej uzgodnione, denerwuje się dyrektor i pisze do Warszawy, co myśli: *Montując tę instytucję wyraźnie zaznaczyłem, że fastrygi robić nie będziemy i że trud organizacyjny w pewnej części musi wziąć na siebie i Ministerstwo.* Na dokumencie widnieje okrągła pieczęć Instytutu Artystycznego w Kazimierzu z wizerunkiem Pegaza wznoszącego się nad kamienicami Przybyłów.

Nie było słuchaczy, więc Instytut zlikwidowano przy końcu stycznia 1946 roku; Byrscy wynieśli się do Sierakówki koło Gostynia. Kiedy w późniejszych latach przyjeżdżali na letnisko do Kazimierza, na ulicach kłaniali im się bohaterowie pastorałkowych przedstawień: „Matka Boska" i „Święty Józef". Do dziś się kłaniają.

Instytut upadł, świat się nie zawalił. W powojennym okresie stale pojawiały się i zaraz znikały z powierzchni ziemi różne stowarzyszenia i placówki kulturalne. Było to zjawisko wówczas normalne, związane z trudnym czasem powojennym, z jego biedą i zawieruchą ideową. Ministerstwo Kultury i Sztuki wiedziało tylko jedno: że sztukę należy krzewić wśród ludu. Zupełnie natomiast nie wiedziało, skąd czerpać na ten cel środki i jak to w ogóle robić, jakimi formami i metodami realizować szczytne zadania. Zachęcano teren do organizacji kół inteligencji, które miały skupiać lokalny aktyw kulturalny, aby po kilku miesiącach lansować powiatowe komitety kultury i sztuki. Działacze dostawali zawrotu głowy od tej ciągłej karuzeli pomysłów i koncepcji, ostatecznie zajmując się tym, co aktualne, pilne, nieodzowne do urządzenia kolejnej akademii, które były w modzie. Zmieniali się ludzie na stanowiskach, wydawali opinie sprzeczne z decyzjami poprzedników, często po omacku szukali sytuacji optymalnej. Była to zabawa nie w dwa, lecz w cztery ognie, spaliła sporo takich „instytutów artystycznych". Pozostaje nam tylko żałować kazimierskiej sprawy i chylić czoło przed jej animatorami.

Po wyjeździe Byrskich na placu boju pozostał w Kazimierzu Antoni Michalak. Malował, lecz znacznie więcej czasu poświęcał zabezpieczaniu zniszczonych zabytków. To był n a j w a ż n i e j s z y, najbardziej aktualny problem miasta. Współpracując z inż. arch. Zygmuntem Knothem, konserwatorem wojewódzkim Lubelszczyzny, Michalak podpierał drągami historyczne kamienice, werbował ludzi do naprawiania dziur wojennych w fasadach. Mieli trochę pieniędzy — z tegoż samego Ministerstwa, które niezbyt znalazło się wobec Instytutu Artystycznego. Ile? Niedużo, w 1945 roku 200 tysięcy. Znacznie więcej mieli ci ludzie optymizmu i wiary w przyszłość. Brzmi to banalnie, ale w tym konkretnym przypadku niesie treści dorzeczne.

Kazimierz przypominał bowiem po wojnie pejzaże z filmowego „Pamiętnika znalezionego w Saragossie". W pożydowskich, opuszczonych domach gnieździły się psy i włóczędzy. Czasami tylko jakaś skrzypiąca chłopska furmanka ożywiła ciszę uliczną. Nie było malarzy, turystów, nie było sprawnej władzy. Więc to, co robiło się wokół opustoszałych najczęściej zabytków, przypominało sen surrealisty.

Już jednak wtedy próbowano rozruszać życie społeczne. 25 marca 1946 roku Zygmunt Knothe reaktywował Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza z Michalakiem na czele. Oczywiście, był to raczej gest zaufania do obywateli miasta, niż moment narodzin siły zbiorowej. Istnienie TPK miało przecież swój sens praktyczny: na jego koncie można było odtąd gromadzić subwencje ministerialne, przeznaczone na konserwację zabytków. Zarząd miejski, jak się okazuje, nie budził zaufania ludzi znających życie. W styczniu tegoż roku Ministerstwo skierowało do wojewódzkiego wydziału kultury w Lublinie kwotę 40 tysięcy złotych z przeznaczeniem na remont zabytkowych kamienic Kazimierza. Inżynier Knothe miast dziękować, poprosił pisemnie dr Jana Zachwatowicza, konserwatora generalnego RP, o zgodę na inne wykorzystanie tej sumy: *30 tysięcy dałbym Puławom na odnowienie Świątyni Sybilli, 10 tysięcy ulokowałbym w remoncie jednej z sal ratusza kazimierskiego.* Dlaczego? Ponieważ *stosunki panujące w Kazimierzu do czasu objęcia stanowiska przez inż. Sicińskiego nie dają gwarancji racjonalnego wykorzystania całkowitej, przekazanej Zarządowi Miejskiemu sumy.* Dr J. Zachwatowicz całą kwotę przerzucił do Puław.

W połowie 1946 roku przyjechał do Kazimierza Karol Siciński, znany tutaj dobrze od lat bez mała trzydziestu. Podczas I wojny światowej inwentaryzował zabytki miasta i Bochotnicy, później projektował wille Kuncewiczów i Berensów (na Dołach), wspierał poczynania burmistrza Ulanowskiego. Jako delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki d/s rekonstrukcji Kazimierza miał teraz przed sobą niepomiernie trudniejsze i większe zadanie. Niski pan, średniej tuszy, w okularach, przystrzyżony na posiwiałego jeża, chadzający z laseczką w dłoni — czy ten urzędnik z wyglądu, a self-mademan z działania przyjechał nad Wisłę ratować tradycję narodową, czy też stawiać sobie pomnik?! Nie wiadomo. Pewne natomiast, że zrobił jedno i drugie. W małym ciemnym pokoiku kamienicy Celejowskiej, gdzie zamieszkał przed wzniesieniem własnego domu, wyrysował Siciński o s o b i s t y Kazimierz, pozostający jednak w harmonijnej zgodzie z tym miastem, które zbudowała historia. I to jest właśnie największa zasługa architekta i malarza w jednej osobie.

Kamena str. 6

Łosice, Dojlidy Złote!

Maciej Podgórski

ŁOSICE mają w herbie konia. Zwierz stojąc podnosi przednią nogę i patrzy w tak zwaną dal. Miasteczko jest jedną z najstarszych osad miejskich na Podlasiu i przynajmniej od początku XIX wieku słynie w okolicach jarmarkami bydła i koni właśnie.

Jarmarki odbywają się w środy, zwane przez miejscowych inteligentów „świętem dyszla". Na wielkim, rozjeżdżonym placu widzę mrowie ludu, wozów i czworonożnego dobytku. Prywatna ciężarówka star skutecznie uzupełnia uspołecznioną gastronomię, serwując z drewnianej budy dania gorące i przekąski, a gdy kto ładnie poprosi, to i coś mocniejszego spod lady „barobusu" się znajdzie, ponieważ jak chłop chłopu sprzeda konia czy krówkę i nie opiją na miejscu — sprawa handlowa nieważna.

Naprzeciw końskiego targowiska, zaraz przez drogę, kwitnie handel drobniejszy: mak, wieszak, krzesło, cebula, sito, rąbanka, filcowy but, gumowy but, czosnek, lejce, słonina, kojec, jabłko, chomąto, łóżeczko dziecinne. Podjeżdżają fiaty i warszawy z Siedlec, Pruszkowa, Siemiatycz, Ostrowi Mazowieckiej, a nawet z Gdańska. Właściciele samochodów otwierają bagażniki, wyciągają metalowe rurki, montują stojaki i wystawiają na sprzedaż „pelisy" watą podszyte, płaszcze, garniturki, suknie. Wszystko nowe, ale z najtańszych materiałów. Tandetnie skrojona i uszyta imitacja miejskiej odzieży. Jakaś chyba łosicka panienka mierzy jesienny płaszczyk, przyciasny i wyraźnie za krótki, bo spod połó wystaje spódnica. — Płaszcz dobry, spódnica za długa — orzeka biznesmen z czerwoną gębą. Panienka niezdecydowana.

Niemal równocześnie z jarmarkiem tej środy ma nastąpić otwarcie sklepu mięsnego GS w odnowionym i zmodernizowanym lokalu przy rynku. Tymczasem trwają poszukiwania jednej z ekspedientek, która udała się do fryzjera, żeby należycie reprezentować. Pomieszczenia w których teraz salon mięsny, należały do „samu" spożywczego. Byłe pomieszczenia sklepu mięsnego GS obejmie w posiadanie „Tania jatka", łosicka agenda Siedleckich Zakładów Terenowego Przemysłu Rolno-Spożywczego. Ponieważ dotychczasowa klita „Taniej jatki" nadaje się do niczego, wychodzi więc, że w rezultacie tej roszady „sam" spożywczy zostanie na lodzie. Ale to drobiazg, gdyż — jak dowiaduję się w biurze GS — miasto Łosice posiadało w byłym województwie warszawskim najwyższy wskaźnik powierzchni handlowej na obywatela.

Właścicielka domku, u której wynajmuję łóżko w pokoju gościnnym, bo hotelu w Łosicach brak, zaprasza mnie na obiad. W „Zajeździe", będącym do południa całkiem spokojną gospodą, choć opodal kwitnie targ koński, wieczorem robi się wprawdzie ostrzej, miejscowi panowie w walonkach „pracują" tęgo, grająca szafa nie grająca, a obrusów czystych brak, lecz przybyszowi nikt złego słowa nie rzeknie, zaś personel brata się przy stolikach ze znajomymi klientami. W nowych blokach mieszkalnych lokatorzy zostawiają obuwie na klatkach schodowych, nikt nie ukradnie, choć bucik stoją tak całą noc. Świeżo poznany pan, z którym zamieniłem kilka służbowych słów, zaprasza mnie na drinka do swego domu, poznaje z żoną, córą i sąsiadem. Atmosfera robi się ciepła jak barchanowe reformy, ludzie są gościnni i otwarci. Zapomina się o nieufności i cwaniactwie dużych miasta. O anonimowości wielkich skupisk ludzkich i tak dalej. Znakomita ludzka sielskość z marzeń Edwarda Redlińskiego.

To wszystko raczej egzotyczne jak „Dojlidy Złote", nazwa białostockiego piwa, które konsumowałem w „Zajeździe" pod marynowane gaski. I chciałoby się westchnąć: ech, Łosice, Dojlidy Złote! Ale to jest — że tak powiem — dopiero jedna strona zagadnienia. Bo miasta nieuchronnie muszą się urbanizować, obrastać w turystykę, przemysł i tym podobne.

Tymczasem istniejąca w Łosicach od dawna spółdzielnia mieszkaniowa „Zryw" do szerszej działalności inwestycyjnej zerwała się po roku 1970. Zresztą pięciolatka 1971—1975 i w tym miasteczku obrodziła: osiedlem domków jednorodzinnych, spółdzielczym domem towarowym, proszkownią mleka, rozpoczętą budową zakładu „Bumaru" i restauracjo-kawiarni GS... Gdyby nie te inwestycje, można by się popłakać nad cichym smętkiem prowincjonalnym byłego województwa warszawskiego.

Jednakowoż Łosice mimo tradycji miejskich to nadal wieś poprzerastana miastem; drewniane chaty kryte omszałą strzechą, czasem przedzielone blokami; wiejski obyczaj, okutany w chusty i obuty w filce, już obrasta obyczajem miejskim, odzianym w prążkowane koszulki i garnitury z szerokimi klapami. Piękny dom towarowy GS zdaje się mieć mniej klientów łosickich niż drobnotowarowy handelek naprzeciw końskiego targowiska. W liczących 4600 mieszkańców Łosicach znajduje się 450 gospodarstw rolnych, przeważnie niewielkich skąd rekrutują się chłopi-robotnicy i chłopi-urzędnicy. Sieć wodociągowa i kanalizacyjna w stanie embrionalnym, przeważają głębokie studzienki i lokalne szamba. W nowych blokach gospodynie palą pod kuchniami węglem.

Tutejsza strażacka orkiestra dęta ma już swoje osiągnięcia, nawet krajowe...

Fot. Z. Wysocki

Ulica Miedzyrzecka wychodzi na podłą drogę do Międzyrzeca, ulica Siedlecka na dobrą drogę do Siedlec, pośrodku ryneczek, przy którym większość domostw odrapanych, a miejscowy folklor handlowy reprezentuje sklep pod szyldem: „Artykuły Metalowo-Techniczne, Motoryzacyjne, Przybory Szewskie", folklor zaś gastronomiczny — gospódka „Podlasianka", gdzie obywatele już od 7.00 „walą setę" jedną po drugiej, roztrząsając sprawy świata tego i okolic, a ja, zamówiwszy tylko bigos i coca-colę, wzbudzam wpierw u kelnerki bezbrzeżne zdumienie, potem natomiast — głęboki podziw.

W tej chwili nie interesują mnie rozważania nad dalekosiężnymi perspektywami i szansami Łosic, lecz raczej kwestia znacznie bliższa — jak miasto wrasta w nową sytuację administracyjną. Gdyż trzeba wiedzieć, że Łosice były powiatem dawnego województwa warszawskiego, ekonomicznie powiązanym i uzależnionym od Siedlec, siedziby innego, znacznie silniejszego powiatu tegoż województwa. Obecnie zaś Łosice przestały być miastem powiatowym, są miastem-gminą w województwie bialskopodlaskim. Kawałek byłej „Warszawszczyzny" w obrębie byłej Lubelszczyzny.

Kiedy przeprowadzano reformę gmin, Łosicom odjęto z 25 km² powierzchni aż 16 km² terenów typowo rolniczych, urealniając tym sposobem granice urbanistyczne. To jeszcze przeszło dość bezboleśnie — nadal był tutaj powiat województwa warszawskiego. Problemy zaczęły się po reformie województw i choć problemy te tyleż konieczne, co przejściowe, warto je dziennikarsko poświadczyć.

Po likwidacji powiatu dawna kadra powiatowa udała się do wojewódzkich Siedlec — nadal mieszka w Łosicach, ale pracuje w Siedlcach, dojeżdżając codziennie. Znamienny jest tutaj może nie fakt tej swoistej migracji „za chlebem", lecz jej kierunek. Optymistycznie szukam w tym bardzo prozaicznych motywacji — z Łosic do Siedlec podróżuje się PKS-em 45 minut i kursuje tych autobusów ze 30 dziennie, z Łosic do Białej Podlaskiej jedzie się sporo ponad godzinę i są tylko cztery kursy dziennie. Na razie Łosice obsługuje PKS Siedlce. „Kiedy się w Białej konferencja przedłuży do późnych godzin popołudniowych, nie ma sposobu na powrót do Łosic, ostatni autobus jest około 17.00" — powiadają łosiccy działacze.

W kołach GS-owskich znowuż słyszę, cztery branże handlowe — odzież, obuwie, konfekcja i gospodarstwo domowe — są zaopatrywane przez siedleckie hurtownie i ostatnio coraz gorzej, ponieważ to się ma skończyć, a jeszcze nie wiadomo, co się zacznie. Chyba zaopatrzenie w Międzyrzecu, choć w tamtym kierunku droga mizerna. Spółdzielcze usługi pralnicze „na sucho" przyjmuje się w punkcie miejscowym, a wozi do wykonania w Siedlcach. Tak samo miało być z bielizną „na mokro", lecz Siedlce niedawno zerwały umowę, toteż zagadnienie gatek i prześcieradeł muszą łosickie gospodynie rozwiązywać we własnym zakresie przy pomocy poczciwej pralki „Frani". Natomiast istnieje umowa między wojewodami bialskopodlaskim a siedleckim, że inwestycje w Łosicach, rozpoczęte przez Siedleckie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego, będzie to przedsiębiorstwo kończyć. Idzie na przykład o budowę bloku mieszkalnego, restauracjo-kawiarni GS... Szkoda zresztą że w przypadku tej drugiej inwestycji po długich bólach zrezygnowano z półpiętra hotelowego. Z półpiętrem czy bez półpiętra, budowa leży, a raczej stoi. Skończyło się to wszystko, gdy słaby powiat Łosice był na garnuszku silnego powiatu Siedlce. Ale teraz, w relacji: wojewódzkie Siedlce — miasto-gmina Łosice województwa bialskopodlaskiego, to się w ogóle rozgrywa w kategoriach półtora robotnika na budowie. Jeśli zaś chodzi o blok mieszkalny, SPBO nie rozpoczęło nawet stanu „zerowego"!

Tak zwaną bazę lokalową handlu mają Łosice całkiem przyzwoitą, tym więcej że po likwidacji powiatu mniej przyjezdnych i obroty handlowe nieco spadły. Kwestie zaopatrzenia i usług zaczną się stabilizować od stycznia 1976 roku, kiedy zajmą się nimi odpowiednie instytucje i przedsiębiorstwa bialskopodlaskie oraz lubelskie. Powstaną wówczas nowe powiązania. W tej chwili idzie o to, żeby elegancko i szybko finalizować powiązania dawne, rozsądnie jednak i nie wszystkie przecie. Istnieją na przykład dobre kontakty Łosic z Teatrem Ziemi Mazowieckiej czy warszawską „Estradą". Ma przyjechać do Łosic kabaret „Friko" Józefa Prutkowskiego, to i w Białej da kilka przedstawień. O co chodzi?

Skoro o kulturze mowa — przyszła mi ochota na parę ciepłych słów o Łosickim Domu Kultury, dawnym PDK, i jego dyrektorze, Mieczysławie Czarneckim, który kieruje placówką od momentu jej uruchomienia, to jest od 1970 roku. Obiekt okazały, z neonem, a jakże! Mieści kino, kawiarnię, społeczne ognisko muzyczne i posiada wszelkie warunki, by stać się miejsko-gminnym ośrodkiem kultury.

— „Góra powiatowa" stanęła do pracy w Siedlcach, pan został na miejscu, dlaczego? — pytam dyrektora.

— Szły oferty z Siedlec i dla mnie. Szczerze mówiąc, początkowo postanowiłem nieco poczekać i zobaczyć, jak będzie w województwie bialskopodlaskim.

— No i jak jest?

— Stawia mnie pan w trochę niezręcznej sytuacji, bo muszę chwalić i mogę być posądzony o brzydkie rzeczy. W każdym razie do władzy kulturalnej w Białej przyszli fachowcy i zaczęli do mnie przemawiać językiem fachowym, a nie urzędniczym. To zadecydowało.

— Słyszałem, że panu i pańskiemu personelowi podniesiono pensje o dobre kilkaset złotych.

— Zgadza się. A ponadto, widzi pan, ja jestem muzykiem, dyryguję tutejszą strażacką orkiestrą dętą, która ma już swoje osiągnięcia, nawet krajowe. Szkoda mi było tego rzucać.

— Co pan zamierza w najbliższym czasie?

— Wystąpić o nowe etaty. Wiem, że będę miał na nie zgodę województwa.

W wyniku reform Łosice otrzymały urealniony status administracyjny, skończyła się sytuacja wielkiej głowy na nikłym ciałku. Z rozmowy z sekretarzem Urzędu Miasta i Gminy w Łosicach, Rolandią Sidorowicz, wywnioskowałem, że oni żyją przede wszystkim okoliczną wsią, bogatą zresztą, i z tego są głównie rozliczani. W każdym razie powinno być tak, że kiedy rolnik przybywa do siedziby swojej gminy, to musi tutaj zobaczyć takie rzeczy, które chciałoby mu się widzieć i we własnej wiosce...

Dęblin i Ryki były na łamach „Sztandaru Ludu" witane w obrębie nowego województwa lubelskiego. Może nie od rzeczy byłoby powitać dawny powiat łosicki i Łosice same, jednak nie w obrębie dawnej Lubelszczyzny, bo to pojęcie coraz bardziej puste, ale wespół z województwem siedleckim w ramach makroregionu środkowo-wschodniego, który wszelako jest tylko cząstką całego kraju.

Kamena str. 7

W SZEREGACH SA

Niżej drukujemy dalszy ciąg wspomnień generała brygady Artura Jastrzębskiego, który w czasie wojny jako Artur Rittner pracował w wywiadzie radzieckim, będąc formalnie członkiem SA. Wspomnienia — w opracowaniu Stanisława Majewskiego.

CZESŁAW Skoniecki miał do dyspozycji radiotelegrafistę, który pracował tylko dla komórki wywiadu antyhitlerowskiego. Maryzia Rutkiewicz była radiotelegrafistką Marcelego Nowotki, a więc KC PPR. Nie wiem nawet czy osoby te — chodzi o obsługujących radiostacje — znały się ze sobą. Raczej nie, wymagał tego interes konspiracji.

Mój związek z Grupą Inicjatywną i później z KC PPR z konieczności był tylko pośredni. Pracowałem bowiem dla Centrali w Moskwie, korzystając jedynie z kanału radiołączności Skonieckiego. Oczywiście, informował on o efektach pracy komórki wywiadu antyhitlerowskiego, a w tym również o mojej działalności, I sekretarza KC — Marcelego Nowotkę, następnie Pawła Findera i Władysława Gomułkę.

Z chwilą przybycia Skonieckiego moja sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Żoliborskie kontakty ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Związku Radzieckiego przekazałem partii, a sam odsunąłem się od organizacji, by wykonywać powierzone mi zadanie na innym froncie walki. Od tej chwili główną uwagę poświęciłem organizacji siatki wywiadu. Nie było to zadanie łatwe, a wymagania stawiane przez Centralę — jeszcze trudniejsze.

Wiosną 1942 roku rozpocząłem starania o przyznanie mi praw Reichsdeutscha. Posłużyłem się starym urzędnikiem bankowym z Żyrardowa, Adolfem Trägerem, który wrócił na łono Reichu natychmiast po wkroczeniu hitlerowców do Polski. Kiedy poprosiłem go o wstawiennictwo i utorowanie mi drogi, początkowo zdumiał się i chciał wiedzieć, dlaczego tak długo zwlekałem z podjęciem ważkiej decyzji.

Muszę przyznać, że Träger coś tam nawet wiedział o mojej przedwojennej działalności w ruchu komunistycznym, ale traktował to jako przejaw młodzieńczej przekory. Wmówiłem staremu, że „obudził się we mnie duch przodków germańskich" i pragnę znaleźć miejsce dla siebie wśród „mego narodu". Nieźle musiałem grać tę rolę, skoro Träger kupił legendę, nawet wzruszył się moją skruchą i postanowił mi pomóc.

Słowa dotrzymał. Miał własne „chody" i sprawę załatwił. Otrzymałem dowód Reichsdeutscha. Z „obywatelskiego obowiązku" — niemieckiego już, oczywiście — wstąpiłem również w szeregi SA, pod komendę dziarskiego Obersturmbahnführera Stefana.

Pozostało teraz jedynie zatrzeć pospiesznie ślady przedwojennej karalności za działalność komunistyczną. A kartotekę miałem dość obfitą.

Nieoceniona pomoc okazał mi w tym major Wojska Polskiego, Zygmunt Horyszowski, którego poznałem kilka lat wcześniej jako oficera zawodowego KOP-u, w mieszkaniu mojej siostry Wandy Kuśkiewiczowej. Za jego pośrednictwem nawiązałem znajomość z pracownikiem archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości, członkiem Armii Krajowej. Przykro mi, że nie pamiętam nazwiska tego człowieka, choć tak wiele mu zawdzięczam. Uzyskałem bowiem z jego rąk moją kartotekę, usuniętą z rejestru skazanych. Wiadomo mi, że z życzliwej i bezinteresownej pomocy tego człowieka korzystali również inni towarzysze, między nimi Stanisław Kiryluk.

Dzieci ochrzciłem w kościele ewangelickim przy ulicy Królewskiej nadając imiona: córce — Marie Luize, synkowi — Waldemar. Dziewczynka miała wtedy niecałe cztery latka, chłopiec niespełna pięć. Nie chcąc narazić żony i dzieci w przypadku zdemaskowania mnie przez władze hitlerowskie, wyrobiłem małżonce konkartę na nazwisko Eugenia Jastrzębska, osoby opiekującej się moimi dziećmi, których matka „zmarła przy porodzie". Rzecz jasna dzieci uchodziły za bliźnięta i taki też zapis był w metrykach.

Wkrótce jak przystało na szanującą się niemiecką rodzinę przeprowadziliśmy się do dzielnicy zamieszkałej przez „nadludzi". Otrzymaliśmy obszerne, wielopokojowe mieszkanie przy ulicy Rozbrat 34/36.

Niemcy czuwali nad edukacją dzieci i specjalne ekipy składały rodzinom dość niespodziewane wizyty. Zaglądały do naszego domu przedstawicielki organizacji zwanej „Mutter und Kind", interesujące się warunkami bytowania i rozwoju „sierot". Dzieci miały wydzielone pomieszczenie, w którym straszył je ze ściany Adolf Hitler, nieodłączny rekwizyt każdego „porządnego domu niemieckiego". Na szczęście

Mikołaj Tumanow

nie rozumiały, co się dzieje wokół nich i statystowały idealnie.

Raz tylko zdarzyło się coś nieprzewidzianego, co mogło wzbudzić podejrzenie osób czuwających nad faszystowskim wychowaniem. Kiedy działaczki organizacji „Mutter und Kind" prowadziły rozmowę z moją żoną, synek zaczął podśpiewywać radziecką piosenkę wojskową, zasłyszaną i zapamiętaną jeszcze w Białymstoku:

Tli kancista, tli wesiole dlupa,
ekipaż masyny bojowoj...

Miało to być:

Tri tankista, tri wiesiołych druga
ekipaż masziny bojewoj...

Niemki, na szczęście, nie znały ani tych słów, ani melodii.

Rozpoznając teren i ludzi przed przystąpieniem do aktywniejszego działania, gdzieś w połowie 1942 roku przypadkowo zawarłem znajomość z inżynierem budowlanym, Mikołajem Tumanowem. Okazał się emigrantem politycznym, byłym pułkownikiem armii generała Wrangla. Był człowiekiem mogącym imponować wręcz encyklopedycznymi wiadomościami o białej emigracji nie tylko w Polsce, lecz również w pozostałych państwach Europy.

Dom przy ulicy Rozbrat 34/36 w Warszawie, w którym podczas okupacji mieszkał A. Ritter (pierwsze piętro, balkon)

Ku mojemu zdumieniu w rozmowie z Tumanowem dowiedziałem się, że w samej tylko Warszawie istnieje tzw. Oficerskoje Sobranije, zrzeszające około 800 byłych oficerów armii carskiej. Mikołaj mocno tkwił w tym środowisku i znał wszystkich na wylot, gdyż w sztabie Wrangla pełnił funkcję personalnika. Jako emigrant posiadał też odpowiednie dokumenty, respektowane przez Niemców. Ułatwiało to mu egzystencję w okupowanej Warszawie.

Poinformowałem Centralę o ujawnieniu wojskowej organizacji białych emigrantów i postanowiłem zainteresować się bliżej Tumanowem. Jak należało przewidywać, Centrala poleciła mi penetrować środowisko białogwardzistów celem ustalenia powiązań z hitlerowcami. Nie było to specjalnie trudne, gdyż dysponowałem odpowiednimi środkami finansowymi, które umożliwiały mi urządzanie przyjęć i spotkań towarzyskich zakrapianych alkoholem...

Chcąc bliżej związać ze sobą Tumanowa, prowadziłem z nim różnego rodzaju interesy handlowe. Nie miejsce tu na szczegóły. Dość, że przez długi czas całkiem nieświadomie oddawał mi on cenne usługi. Zapałał zresztą do mnie szczerą przyjaźnią, gdyż ja z kolei imponowałem mu znajomością języka rosyjskiego i rosyjskiej literatury klasycznej. On zaś ją uwielbiał, mógł na każde życzenie recytować Puszkina, Lermontowa i innych poetów. Grał również po mistrzowsku na gitarze i przyjemnie śpiewał. Był to człowiek wielkiej kultury i uroku osobistego. Językiem polskim władał bezbłędnie, ale ze wschodnim akcentem.

Dzięki przyjaźni z Tumanowem wszedłem więc w środowisko białych emigrantów.

Na jednym z przyjęć (występowałem tam w mundurze SA) poznałem generała Aleksandra Pika, byłego prokuratora carskiego, który w 1906 roku oskarżał przed sądem w Petersburgu lejtnanta Szmidta, jednego z przywódców buntu i powstania marynarzy na pancerniku floty czarnomorskiej „Potiomkin". Tenże były carski prokurator pełnił podczas rządów Piłsudskiego odpowiedzialne funkcje w służbie sprawiedliwości Wojska Polskiego: był prokuratorem generalnym, a następnie prezesem Sądu Wojewódzkiego.

Pik był wyjątkowo aktywny w środowisku białych emigrantów w Warszawie, którzy po agresji hitlerowskiej na Związek Radziecki podnieśli głowy. Żywiąc nadzieję na rychły powrót do swych włości i majątków, prześcigali się w służalczości wobec hitlerowców, kolaborowali jawnie i skrycie. Niektórzy pojechali nawet odwiedzić swoje dawne majątki na Białorusi, Ukrainie i w Rosji.

Wywiad hitlerowski wykorzystywał białą emigrację do przerzutu dywersantów na tyły Armii Radzieckiej, werbował z jej szeregów agentów, posługiwał się emigrantami do uprawiania wrogiej propagandy wśród jeńców wojennych, w szkoleniu dywersantów, fałszowaniu dokumentów itp.

Tumanow zaprzyjaźnił się ze mną do tego stopnia, że zdecydował się zamieszkać w tej samej co i ja kamienicy. Prowadziliśmy wspólnie roboty rozbiórkowe, wspólnie spędzaliśmy wiele czasu i często wspólnie wypoczywaliśmy. Tumanow był człowiekiem z szerokim gestem i lubił się zabawić, dobrze zjeść i wypić.

Niezależnie od celu, jaki mi przyświecał, polubiłem Tumanowa naprawdę. Należał on bowiem do ludzi z zasadami. Niemców nienawidził, chociaż starał się kryć przede mną z tymi uczuciami, nie zawsze zresztą udolnie. O mnie wypowiadał się do swoich kolegów oficerów: „Niemiec no rusofil!"... Miejsce mego przyjścia na świat — miasto Jelec, w guberni orłowskiej, znajomość języka rosyjskiego i wiedza o Rosji, wszystko to pozwalało Tumanowowi zapomnieć, że jestem SA-manem. Zdarzało się, że w przypływie szczerości i pod wpływem alkoholu obejmował mnie za szyję i mawiał:

— Kakoj ty Niemiec, ty nasz, orłowskij!

Za pośrednictwem niemieckiego przedsiębiorcy Klatta podjąłem się wraz z Tumanowem rozbiórek domów na obszarze wydzielonym dla Żydów.

W tym samym czasie, w początkach 1942 roku, Andrzej Szmidt — Pinkus Kartin, ten sam, który przybył w Grupie Inicjatywnej, otrzymał partyjne polecenie, aby przejść do getta i tam przystąpić do organizowania zbrojnego oporu wśród młodych i zdolnych do walki Żydów.

Skoniecki zwrócił się do mnie, abym przeprowadził Szmidta przez bramę getta.

Andrzej był tak zaskoczony decyzją KC, że w pierwszej chwili uważał ją za krzywdzącą. Rwał się do lasu, do partyzantki, a tu posyłają go do getta jako agitatora. Trzeba było wielu argumentów, aby przekonać go, że agitacja partyjna w warszawskim getcie to znacznie skuteczniejsza broń, niż jeden pistolet w jego dłoni.

Andrzeja Szmidta, zaopatrzonego w „lewe" dokumenty, osobiście przeprowadziłem do getta przez bramę na Lesznie. W pierwszym okresie mieszkał przy ulicy Pokornej 3, u działaczki KPP sprzed wojny — Eugenii Kamienieckiej. W oparciu o kontakty, podane przeze mnie, jak również przez Kamieniecką i innych towarzyszy, zaczął szukać ludzi, którzy zdobędą się na odwagę, aby rozpocząć walkę z hitlerowcami. Nie było to jednak łatwe.

Wtedy jeszcze tam, za murem nie bardzo wierzono, że Niemcy zdolni będą do tak totalnej eksterminacji jakiej byliśmy niedługo świadkami. Dominowała, niestety, apatia i Szmidt żalił się w mieszkaniu przy Pokornej.

Wypełniając polecenie KC PPR, Andrzej zakupił już poprzednio czcionki dla drukarni partyjnej. Po kilku dniach przewiozłem je na drugą stronę. W tym samym czasie Andrzej sprzedał własną jesionkę i kupił czcionki z myślą o uruchomieniu nielegalnej drukarni w getcie, aby poprzez słowo drukowane lepiej i skuteczniej mobilizować Żydów do zbrojnego oporu. Była to całkowicie jego osobista inicjatywa.

Marceli Nowotko, dowiedziawszy się o tym, natychmiast nakazał odkupić jesionkę Andrzejowi za pieniądze partyjne, „... bo w czym Szmidt będzie chodził zimą?"

30 maja 1942 roku w okolicach Dzielnej Andrzej Szmidt w jednym z lokali ruchu oporu zorganizował odprawę. Z przyczyn do dziś nie ustalonych o zebraniu dowiedziało się gestapo i otoczyło dom. Strzelanina przeniosła się z mieszkania na ulicę. Ciężko rannego Andrzeja zabrało gestapo. Prawdopodobnie zmarł w karetce.

Straty w szeregach podziemnych musiały być przyjmowane jako nieunikniona konieczność, jednakże za każdym razem, gdy się zdarzały, przejmowały bólem.

Mikołaj Tumanow towarzyszył mi w częstych wędrówkach do getta, skąd odbierał przeznaczone dla RGO drewniaki, produkowane w warsztatach żydowskich. „Drewniakowy" interes służył nam jedynie za parawan faktycznej działalności.

Moje kontakty z Tumanowem były teraz codzienne. Wytworzyła się między nami szczera przyjaźń. Mogłem obserwować go w każdej sytuacji i dyskretnie śledzić jego reakcje na wydarzenia zachodzące w otaczającym nas świecie. Nadszedł czas, gdy nabrałem przekonania, że Mikołaj Tumanow jest prawdziwym patriotą rosyjskim, w dobrym znaczeniu tego słowa, i że gdyby pracował świadomie dla wywiadu, mógłby działać efektywniej.

Skierowałem więc do Centrali prośbę o wyrażenie zgody na podjęcie ryzyka. Dano mi wolną rękę.

Postanowiłem zagrać wobec Tumanowa w otwarte karty. Byłem absolutnie przekonany, że Kola — tak go nazywałem — może ewentualnie odmówić współpracy z wywiadem, a nawet odsunąć się ode mnie, ale na pewno nie zdradzi.

Nie przypominam sobie dokładnej daty, ale było to już pod koniec 1942 roku. Zaprosiłem Tumanowa na obiad do restauracji na Krakowskim Przedmieściu, mieszczącej się dokładnie w tym miejscu, gdzie obecnie znajduje się kawiarnia „Telimena". Po obiedzie wyszliśmy na ulicę i spacerem zmierzaliśmy w stronę Nowego Światu. Gdzieś na wysokości hotelu „Europejskiego" znienacka zwróciłem się do Tumanowa po rosyjsku:

— Kola, twoja ojczyzna potrzebuje pomocy. Zwracam się do ciebie jako oficer wywiadu radzieckiego, przeświadczony, że jesteś człowiekiem uczciwym, nie mogącym godzić się wewnętrznie z bandyckim faszyzmem, który pustoszy twój i mój kraj. Dowolno durak waljat!...

Tumanow zatrzymał się, znieruchomiał, chwycił mnie kurczowo za rękę, spojrzał mi w oczy nie mogąc wykrztusić słowa. Staliśmy tak przez chwilę w milczeniu, krzyżując spojrzenia. W jego oczach dostrzegłem nagle łzy. Ściskał moją dłoń i płakał. Stał przede mną człowiek sterany życiem, dotychczas nikomu nie potrzebny i poniżany, który usłyszał nagle, że ojczyzna w trudnej chwili zwraca się do niego o pomoc. Ojczyzna, którą był utracił.

Po kilku minutach Tumanow opanował się i wyrzekł cicho:

— Arturze, ja nigdy nie będą komunistą! No, ale dla ojczyzny... dla ojczyzny zrobię wszystko! Wszystko!

Taka była jego pierwsza reakcja. Poprosił o jeden dzień do namysłu. Wyraziłem zgodę, bo inaczej być przecież nie mogło. Rozumiałem, że teraz powinien, że musi ochłonąć z wrażenia, że na pewno chce być teraz sam, tylko sam ze swymi myślami. Pożegnałem go i oddaliłem się. Tumanow poszedł w swoim kierunku — a w ślad za nim dyskretni obserwatorzy, których przydzielił mi Skoniecki, uprzedzony o ryzykownym przedsięwzięciu.

Obserwacja meldowała nazajutrz, że Tumanow udał się wprost do swego mieszkania i nie opuszczał domu do następnego dnia.

Na drugi dzień powitał mnie inny człowiek: odmłodzony, uśmiechnięty, energiczny.

— Rozwałyłem twoją propozycję, Arturze, i przyjmuję! Czekam na rozkazy!

Intuicja nie zawiodła mnie.

Od tego dnia nasza robota nabrała innych wymiarów. Założyliśmy teraz, wspólnie już, oczywiście fikcyjne, przedsiębiorstwo przewozowo-spedycyjne. Chodziło o to, by mieć możliwość łatwiejszego poruszania się na obszarze GG, a zarazem stworzyć pozory, że Mikołaj Tumanow ma stałe źródło dochodu, z którego czerpie środki na urządzanie wystawnych przyjęć, spotkań i libacji. Oczywiście zapraszano tylko takie osoby, które przedstawiały sobą jakąś wartość dla wywiadu.

Cerkiew na Pradze gromadziła w każdą niedzielę rzesze prawosławnych, którzy po zakończeniu obrządku i odśpiewaniu „Boże, caria chrani!", wylegali na plac przed świątynią tworząc istną giełdę. Wielu pojawiało się tam nie tyle z potrzeby ducha, ile dla samych spotkań towarzyskich, wymiany myśli, plotek, załatwiania różnych interesów, nie zawsze zresztą czystych.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

OZI (II)

Artur Jastrzębski

Cerkiew na Pradze — widok dzisiejszy
Fot. H. Jurko

Tumanow nie przepuścił żadnej okazji, by myszkować w środowisku i zdobywać informacje o interesujących nas ludziach, wydarzeniach i faktach; tam też zapraszał i ściągał do swego mieszkania tych, którzy mieli rozeznanie w światku najbliższych współpracowników Abwehr i gestapo.

Jednym z najczęściej stosowanych sposobów zbierania informacji jest utworzenie, za pośrednictwem szerokich i rozgałęzionych stosunków, jak największej siatki nieświadomych informatorów. Agent wywiadu, dobrze uplasowany w dużym środowisku, współpracującym lub tylko sympatyzującym z wrogiem, jest niewyczerpanym źródłem cennych wiadomości. Takim właśnie agentem w środowisku białej emigracji w Warszawie był Mikołaj Tumanow, a ludzie z tego środowiska powodowani gadulstwem, samochwalstwem, zawiściami o wpływy i stosunki — rozpowiadali o kontaktach, o najróżniejszych sprawach i sprawkach.

Z tej mozaiki układał się interesujący obraz dla wywiadu. Wywiad zbiera poszczególne elementy, szczegóły i detale, które następnie ulegają odpowiedniej segregacji. W Centrali wyprowadza się uogólnienia, które dają obraz tego, co właśnie interesuje wywiad.

(c. d. n.)

Rodak

REPRODUKOWANE zdjęcie ukazało się w szwedzkim dzienniku „Strengnäs Tidning" 22 sierpnia 1975 r. Wykonane latem w Lublinie, przedstawia prezydenta miasta mgr. Stanisława Borę, podejmującego uczestników kursu polonijnych nauczycieli języka polskiego, m. in. Bernarda Osińskiego (drugi z lewej) ze Szwecji, o którym pisaliśmy w 16 numerze „Kameny". Widniejący pod fotografią tytuł artykułu głosi: „Polak z Aker honorowany na kursie kulturalnym w Ojczyźnie". Publikacja pióra znanej dziennikarki szwedzkiej Irmy Brandt prezentuje sylwetkę Bernarda Osińskiego i serdeczny stosunek Kraju do Polonii.

B. Osiński, zauważa autorka, doskonale zna język polski — mimo że w Szwecji przebywa od 1939 roku, kiedy to wraz z marynarzami polskich okrętów podwodnych został internowany w królestwie. „Mieszkając stale w Szwecji, pisze recenzje z koncertów i ważniejszych sztuk wystawianych w teatrach większych ośrodków teatralnych..., które następnie przesyła do Polskiego Radia (audycje polonijne). Zainteresowania literackie doprowadziły do tego, że stał się bibliofilem na większą skalę. Przed rokiem przekazał Instytutowi Polskiemu w Sztokholmie prawie cały swój zbiór książek polskich — w sumie 1455 tomów".

Nasz rodak — dowiadujemy się z publikacji — jest także znawcą szwedzkiej historii i literatury, często pomaga polskim naukowcom i studentom zainteresowanym taką właśnie problematyką. „Można zapytać, ilu jest Szwedów, którzy tak dobrze znają historię Szwecji i jej literaturę, jak ten Polak?"

Autorka przypomina poza tym o sukcesach B. Osińskiego w konkursach organizowanych przez Polskie Radio wśród Polonii, co umożliwiło mu bezpłatny pobyt w kraju.

Były marynarz jest posiadaczem odznaki „Zasłużony dla kultury polskiej", przyznanej mu przez nasze Ministerstwo Kultury i Sztuki. Podczas niedawnego kursu w Lublinie, zorganizowanego przez Polonii-s Centrum Kulturalno - Oświatowe UMCS i Towarzystwo „Polonia" B. Osiński „otrzymał z rąk prezydenta Lublina duży i bardzo ładny talerz miedziany z herbem miasta" oraz został „honorowym uczniem" liceum w Puławach, co uwierzytelniono specjalną odznaką.

Panie Bernardzie, zbliża się Nowy Rok, prosimy o przyjęcie od redakcji „Kameny" życzeń tyle serdecznych, co zobowiązujących do odwiedzin Lublina — choćby w przerwie kolejnego kursu uniwersyteckiego, który czeka Pana w 1976 r.

IJK

O POTRZEBIE MOZOŁU

Marian Makarski

MYŚLENIE ma przyszłość — powiadają — ale z myślenia wnioski nasuwają się już teraz. Takim wnioskiem jest zdanie (moje), że o malarstwie pisać nie należy, ba, nie należy nawet mówić. Malarstwo trzeba przeżywać, kontemplować w zadumie, w milczeniu. Malarstwo jest hermetyczne, zamknięte w sobie, to jakieś misterium obcowania dla wtajemniczonych. W wielkich muzeach przed wielkimi dziełami stoją wielkie ławy — właśnie po to.

O malarstwie należy pisać, mówić, krzyczeć — to wniosek, do jakiego dochodzę nie z przekory do wniosku pierwszego. Jest to wynikiem obserwacji otoczenia, w którym żyję. Po to, aby kontemplować w milczeniu, przeżywać sztukę (nie tylko malarstwo), trzeba tę sztukę wprzódy nosić w sobie, być uwrażliwionym, podatnym jak medium. Trzeba żyć w hermetycznym kręgu własnych myśli. Jeżeli przyjąć, że wartością dzieła jest wartość percepcji, a więc świadoma reakcja widza-odbiorcy, to warunek ten spełnia się wtedy, kiedy odbiorca nosi w sobie ten ołtarz spełniania, jest uwrażliwiony, a więc nie jest profanem.

Z tego nasuwa się wniosek trzeci (dawno znany), że sztuka jest domeną wybrańców, a nie profanów. To grono wybrańców jest gronem natchnionych przez naturę, uprzywilejowanych. Edukacja o ile rozwija natchnionych, to w zasadzie nie pomniejsza grona profanów. Wydaje się, że ten podział następuje dość wcześnie, może jeszcze przed urodzeniem. To sprawa genów. Kultura antyczna przekazała nam wiele mitów na ten temat, a więc problem to odwieczny.

Jeżeli mówimy o wychowawczej roli sztuki, albo o wychowaniu przez sztukę, to mamy na myśli nie sztukę, ale tego kogoś, kogo mamy wychować. Rzecz jasna, że nie na artystę, ale na „przyzwoitego obywatela". Sztukę traktujemy tu jedynie jako narzędzie wychowawcze, coś w rodzaju pouczającej zabawki.

Sztuka doznaje w człowieku wielorakich spełnień, czasem pożera ofiarę. Zastanawiałem się nad tym, oglądając wystawę malarstwa Kazimierza Ostrowskiego (Salon BWA Lublin, listopad 1975 r.). Czułem, że obcuję z malarstwem znakomitym, pełnym pasji, nerwu. Choć w dotyku te obrazy wydać się mogą nieestetyczne, nawet toporne, a przecież jest to malarstwo — jak powiedziałem — znakomite. Wydaje się, że pod warstwą emanacji obrazu kryje się trud, mozół, praca artysty. Dlatego to malarstwo wydało mi się tak prawdziwe. Dlatego powiedziałem o tym autorowi na wernisażu. Moje uwagi wzruszyły go, ale to wzruszenie trwało krótko, jako że rozmowa nasza odbywała się w dość szerokim gronie, które to grono (złożone w większości z malarzy z kręgu autora) oburzyło się raptownie, uznając moją wypowiedź za szczyt nietaktu. I mieli rację. Zamiast przekazania konwencjonalnych zachwytów w rodzaju „och", „ach" przychodzi ktoś i prawi o mozole, o tytanicznej pracy artysty. Jak mi wyjaśniono, do malarstwa potrzebna jest głowa, a nie zbrudzone farbą ręce, nie trud, nie warsztat, ale głowa.

Otóż kochani adwersarze — głowę można mieć do interesów, a nie do sztuki. To prawda, że niejeden dziś „artysta" (może i z was), mając głowę na karku, robi w sztuce niezłe interesy. Jednak dzieło powstaje w trudzie, w mece, w uwikłaniu. Trzeba siebie wypluwać, odchodzić od siebie ze wstrętem i wracać wzbogacony sobą. Takie jest prawo tworzenia, takie są obyczaje sztuki. Kto tego nie wie, nie pojmie parając się sztuką, ten czyni zło i sobie i sztuce.

Kazimierz Ostrowski jest artystą i dlatego właśnie nie posiada twarzy amanta filmowego ani dyplomaty. Jego twarz jest szara, zorana bruzdami, ma posturę ciężko pracującego na roli chłopa. To jest cena, jaką płaci się za sztukę. A płaci się życiem całym, niepokojem, udręką, zoraną twarzą właśnie. Płaci się wtedy, kiedy się jest artystą. Kiedy sztukę traktuje się jak swoje posłannictwo.

Nie ma innej drogi, bo nie ma ułatwień. Ta reguła odnosi się nie tylko do tych, którym sprzyjało szczęście i doszli do utrwalonego sukcesu, ale odnosi się również, a może przede wszystkim, do artystów żyjących w cieniu sukcesu i sławy. Ile trzeba hartu, wiary w swoje poczynania, aby tworzyć w milczeniu, znosić ludzką obojętność, a czasem i kpinę.

Ale dość sporów, niepotrzebni adwersarze. Oto w poprzednim numerze „Kameny" znajduję przytoczony z „Kultury" wyjątek z artykułu W. Osiatyńskiego, omawiającego książkę wielkiego psychiatry prof. Kazimierza Dąbrowskiego: „Osobowości trzeba się z trudem i mozołem dopracować, nieraz przez całe życie (...). Przejść przez piekło szamotań, wahań i niepewności"...

Na wernisażu wystawy malarstwa K. Ostrowskiego powiedziałem o trudzie, o mozole artysty — odpowiedziano mi obelgami. I to jest najsmutniejsze.

LUBLIN

WOJEWÓDZKIE NAGRODY SPOŁECZNO - KULTURALNE

BOLESŁAW HAMAŁUK

Nagrody jeszcze nie odebrał (bo w dniu ich wręczania występował w Częstochowie, potem rozchorował się). Urodził się w Kołomyi w roku wybuchu drugiej wojny światowej. Jako 11-letni chłopiec zaczął śpiewać w chórze chłopięcym Filharmonii Krakowskiej. W tymże mieście ukończył PWSM, po drodze zawadzając przez rok o fizykę na UJ. Dziesięć lat śpiewał w krakowskiej operetce i operze, debiutując w połowie w „Wesołej wdówce", i w połowie w „Tysiącu i jednej nocy". W Lublinie od sześciu lat jest solistą w operetce, śpiewał w Holandii i na Węgrzech, występuje w koncertach z Filharmonią i dużo społecznie.

ZOFIA KOPEL-SZULC

W nr 22 „Kameny" w relacji z sympozjum i wystaw „Złotego Grona" w Zielonej Górze pisaliśmy o II nagrodzie tej plastyczki na zielonogórskiej imprezie reprodukując jedną z jej grafik. Pierwsza nagroda była już w 1966 roku na wystawie „Przeciw wojnie", później kolejny sukces na wystawie (w Paryżu) stypendystów rządu francuskiego. W roku bieżącym indywidualne wystawy w Lublinie, Wałbrzychu, Paryżu i Montrealu, poprzednio m. in. w Moskwie, Miluzie, Lille, Barcelonie, Madrycie, Debreczynie, Mentonie, Leningradzie, Pradze.

Nagroda „za wybitne osiągnięcia plastyczne w dziale grafiki i popularyzację sztuki polskiej za granicą".

FRED KOSMALA

Właściwe imię to Fryderyk. Wykształcenie plastyczne zdobył w rodzinnym Lublinie. Pracuje w Teatrze Lalki i Aktora jako scenograf i aktor, ciesząc się wielką popularnością u najmłodszych widzów. Debiutował w 1955 roku w sztuce „Smok w Niestorowie" w reżyserii Kilian-Stanisławskiej. W tej chwili gra w „Akademii pana Kleksa". W dniu wręczenia nagrody bardzo się spieszył na generalną próbę „Królowej śniegu". Tę sztukę Andersena lubelski Teatr Lalki i Aktora im. Andersena wystawia w związku ze stuleciem śmierci tego autora. Z tej okazji odbyło się w Lublinie międzynarodowe spotkanie aktorów, reżyserów, pisarzy i tłumaczy, związanych z Andersenem. Żona Barbara jest lekarzem medycyny, trzyletnia Edytka nie przejawia jeszcze zdecydowanych zamiłowań.

Nagroda „za wybitne role aktorskie i pracę z dziećmi".

JERZY LESZCZYŃSKI

Urodził się w Sosnowcu, studiował we Wrocławiu geografię, a poświęcił się pantomimie. Jeżdżąc z recitalami po Polsce, trafiał i do Lublina, który go wreszcie skusił. I tu został kierownikiem Studia Wizji i Ruchu, zespołu początkowo amatorskiego, dziś częściowo zawodowego, w którym pracuje 14 mimów, w tym połowę stanowią kobiety. Jest to jedyny w Polsce teatr zawodowy, który żyje z własnych dochodów, a który jednocześnie nie posiada ani biura, ani nawet sali do prób. Przeprowadza się te próby w salkach różnych przedsiębiorstw i instytucji, wynajmowanych nie przez dyrektorów, ale portierów „po znajomości".

Nagroda „za wybitne osiągnięcia aktorskie i reżyserskie w dziedzinie teatru pantomimy i postawę społeczną".

ROMUALD LIPKO

Najmłodszy spośród laureatów — ma lat 25. Urodzony lubliniak, tu ukończył liceum muzyczne w specjalności — gitara. Już w szkole grał w utworzonym okazyjnie zespole. Potem związał się z inną grupą amatorów, grających w Miejskim Domu Kultury. Z tego wyłoniła się znana już w kraju Budka Suflera, ale zanim stała się sławna, MDK jakby wyrzekł się swego dziecka, które znalazło życzliwą pomoc i opiekę w Rozgłośni Lubelskiej PR. Przed miesiącem został szczęśliwym ojcem syna.

Nagroda „za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kompozycji i popularyzacji muzyki młodzieżowej".

ALINA WAWRZOSEK

Z zawodu jest farmaceutką, pełni funkcję zastępcy dyrektora Lubelskiego Zarządu Aptek. Przed pięciu laty została członkiem Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Pasja pracy społecznej, wewnętrzna potrzeba działania spowodowały, że już po trzech miesiącach została wybrana prezesem tej organizacji i funkcję tę sprawuje już drugą kadencję. Przewodzi więc 160 członkom Towarzystwa skupiającego twórców (zawodowych i amatorów) i sympatyków sztuki oraz działaczy kulturalnych. Czynnie uczestniczy w organizowaniu wystaw w kraju i wymiennych z Łuckiem oraz Debreczynem, ze szczególnym poparciem debiutów malarskich. 16-letnia córka zdobyła już II nagrodę ministrów Górnictwa i Oświaty za linoryt o tematyce górniczej.

Nagroda „za popularyzację i upowszechnianie plastyki w środowisku robotniczym i zaangażowanie społeczne".

ZBIGNIEW ZASTAWNY

Jego macierzystym zakładem pracy jest Filharmonia Lubelska w której gra na klarnecie i saksofonie. Ponadto komponuje i aranżuje piosenki. Za kompozycje lub opracowania muzyczne zdobył nagrody w konkursach muzycznych w Sanoku, Białymstoku, Opolu, i Miechowie, a w konkursie Polskiego Radia i Telewizji na utwór instrumentalny dla orkiestry do 20 osób zdobył nagrodę i wyróżnienie. Od wielu lat współpracuje z ruchem amatorskim, jest wykładowcą zagadnień muzycznych oraz jurorem w wielu ocenach. W 1970 roku zebrał jedną z rozproszonych dawniej grup, która dzisiaj zdobywa sukcesy w całym kraju. Jest to prezentowana już przez nas grupa „Ikersi". Nagroda „za wybitne osiągnięcia w popularyzacji muzyki młodzieżowej oraz za całokształt pracy w amatorskim ruchu artystycznym".

Witold Zechenter

MOST

Znów ujrzałem te oczy z papieru,
znów ujrzałem ten uśmiech z dykty —
noc przecięły nietoperze szmeru,
aż świt zbłądził w mych snach nienawykłych.

Chcę je schwytać, ale znikają
tak jak gwiazdy w świetle rannych godzin —
a daleko, w jakimś zmarłym kraju,
moja młodość znów przez most przechodzi.

Ja wiem o tym i widzę dokładnie
i szum rzeki, co pod mostem płynie,
słyszę znowu tak blisko, tak nagle
jak swój oddech w bezsennej godzinie.

Coś po ścianie przeszło cieniem szybkim,
jakby łódka płynęła bez steru...
Znów ujrzałem ten uśmiech z dykty,
znów ujrzałem te oczy z papieru.

W ZIMIE

To było w wiośnie. Ale dziś nie proszę
o kwiaty ciepłe, pełne zamyślenia:
jest przecież zima. Więc cierpliwie wznoszę
zamki na lodzie twojego spojrzenia.

Stanisław Misakowski

NIE NAZYWAJ MNIE PO IMIENIU

Nie nazywaj mnie po imieniu —
chrzest był tylko blufem
na rozstaju
między mną a tobą

dawno spalono przeszłość —
oddechem wiatru
porosły w dolinach krzyży
na wzgórzach
spokojnie wylegują się słońca

niepotrzebnie zwołujesz lasy —
świadków ścięto
imiona
jak płaty kwiatów
zasuszono
w stogach zbutwiałych ksiąg

DESZCZOWY URAZ

Stoję
rozpięty na wszystkie wiatry.
krople deszczu
pukają do mojej pamięci —
otwórz się!

z oczu wylatują ptaki
pęcznieją rozmokłe myśli

dżdża
skwapliwie zlizuje
ślady przeszłości

Alfons Soczyński

* * *

Jeszcze za wcześnie
na próżno otwierasz przede mną
zamki twych tajemnic liściastych i iglastych
rozkładasz wiosną plastry polanek
ociekające w słońcu młodym miodem
nęcisz spokojem puszystego łoża
ze srebrnych nitek mchów utkanej pościeli
każesz grać leśnej filharmonii
na wszystkich instrumentach

kiedy godziny należne odliczy
buchalter mego czasu
kiedy już tylko liściem zeschłym będę
tu niepotrzebnym już dla tego drzewa
sam przyjdę
między tysiącletnie dęby

USPOKOJENIE

Jan Jastrzębski

JUŻ wiele dni gnała Guliwera tęsknota wędrownego psa. Tak trzeba było. Trzeba było żeby zmieniały się twarze za ścianami kas biletowych i kamerek z formacyjnych uniformów i twarze bardwomozetowych. Ze snu budzili go przygodni obywatele albo ludzie w kolejarskich bądź milicyjnych mundurach i czynili to w sposób mniej lub bardziej urozmaicony. Przywiązywał się do coraz to innych krajobrazów, zostawał z nimi, by potem gwałtownie zrywać te zaślubiny. Kiedy przybył do pewnego śląskiego miasta, zmęczenie sięgało mu oczu. Pomyślał, że należałoby się tutaj zatrzymać, choćby dla uregulowania oddechu, przymknięcia oczu. Mimo to wskoczył do będącego już w biegu dalekobieżnego pociągu i nie miał o to do siebie żalu. Przeciwnie, im bardziej oddalały się kominy miasta, tym silniej rosło w nim przekonanie, że zrobił dobrze.

I znowu uciekały wciąż nowe i nowe pejzaże, nad którymi dostojnie tliło się słońce we mgle. Nadbiegały z daleka jakby koniecznie chciały się przyjrzeć stojącemu w otwartych drzwiach wagonu, targanemu wiatrem Guliwerowi. Jechał wciśnięty pomiędzy ludzi, a z nim jechała jego jedyna towarzyszka: Nostalgia Wysokopienna. Upewnił się na wszelki wypadek, czy aby na pewno dotrze do tego miasta, które było niegdyś jego uspokojeniem i za którym już tęsknił zenitalnie. W pobliżu miasta leżała mała stacyjka, która w locie sypnęła mu pełną garścią wspomnień. „A więc powtarzają mi się małe stacyjki. Ładnie ze mną jest".

Uśmiechnął się wewnętrznie. Pomyślał, że pamięć wiernie i z łatwością ukazałaby krajobrazy widziane tutaj przed rokiem. Mogłaby wypełnić je tamtymi twarzami, głosami, słowami. Lecz zmęczenie sięgnęło już oczu, więc muśnięta tylko, podsunęła mu obraz jak o północy, na miniętej właśnie stacyjce pije wódkę z nieznajomym kolejarzem.

I oto już oczekiwane miasto. Dworzec w remoncie, na poły zburzony. Przygnębiło go to nieco, bo rumowisko było w miejscu, gdzie powinna się znajdować dworcowa restauracja, a w niej piwo. Przygnębienie wzrosło, gdy zajrzał do baru. Cicho, sennie i ciemno, a kiedyś pełno tu było ludzi, którym bez obaw można byłoby powierzać role w najmroczniejszych kryminałach czy westernach.

W prowizorycznej, miniaturowej poczekalni jakaś dziewczyna o proporcjonalnie rozwiniętych kształtach żegnała się ze swymi kumplami, obcmokując ich szczodrze i niewymuszenie.

Czas mu było na ulicę. Po drodze zawadził jeszcze o [illegible] dwa nomiczny, [illegible] do głównej Alei, [illegible] na Wzgórze Jutrzni. Aleją sunął odświętny tłum, a w nim rozchwiane, szare plamy pijanych, ale nie było ich tu więcej niż gdzie indziej. Ani mniej. Wszystko i wszędzie, proszę państwa, w należytych proporcjach. Wreszcie dokołysał się do Wzgórza. Był u celu. Przed bramą. Pod drzwiami. Czuł wdzięczność do siebie za to, że nie zapomniał po co tu przyjechał i gdzie się znajdował, a nie zawsze tak było. Tu według wszelkiego prawdopodobieństwa możliwe było, że ktoś na niego czekał.

Ostatecznie więc pogodził się z tą myślą. Skierował się ku toalecie i przywróciwszy sobie z grubsza ludzki wygląd, poszedł do Niej. Była. Patrzył w Jej twarz i czynił rozpaczliwe wysiłki, by coś powiedzieć. Chciał, by było to coś ważnego. By było to To — o czym skowyczał po nocach i co śniło mu się po dniach. Nie udało mu się. Skończyło się na bełkotliwych próbach: „jestem... znowu jestem... widzisz... przyjechałem... to ja..." i tak dalej. Potem stoczył się już zupełnie w milczenie. Doznał uczucia że go nie słucha. „Musi być też bardzo zmęczona" — pomyślał i zalała go fala współczucia dla Niej.

Wyszedł powoli, trwożliwie rozglądając się wokół. Udał się na szczyt Wzgórza i tu wspomnienia, wykorzystując jego zmęczenie, osaczyły go niczym dzikie zwierzęta. Wspomnienie narodzin. Pierwszej Wielkiej Miłości do Ludzi. Monstrualnego poczucia wspólnego losu. To tutaj To się w nim zrodziło. Zakłębiły się wtedy w gardle gorące łzy, zacisnęły pięści, zamglone oczy nie widziały nic oprócz Jednej Twarzy a serce rozszerzało się pod naporem dziecięcej ufności. Także tu, na tym Wzgórzu, ujrzał kiedyś dziewczynę, jakiej nie widział nigdy przedtem ani potem. W jej pięknie było coś niebezpiecznego i to go zafascynowało. Dziewczyna w błękitnej sukience. Nazywał ją w myślach po prostu Błękitną. Szedł wtedy za nią czujnie bacząc, by nie stracić jej z oczu, bo ludzi na Wzgórzu było wtedy moc. W pewnej chwili Błękitna przystanęła, odwróciła się i nieoczekiwanie utkwiła w nim swój wzrok. Uważny, rozpaczliwy i drwiący. Potem znowu ruszyła przed siebie, a Guliwer powlókł się za nią jak pies. A był wtedy psem mocno poszarpanym, ale nie przez inne psy tylko przez ludzi „dobrej woli", którzy naznaczyli go dokładnie, by móc go zawsze i szybko rozpoznać. Więc wlókł się za nią. Nie wiedział czemu to robi. Po prostu szedł za nią. Tak trzeba było.

Naraz gdzieś mu się zapodziała, a gdy odszukał ją wzrokiem, nie była już sama. Towarzyszył jej facet o wyrafinowanej fryzurze i dobrze utrzymanej twarzy. Błękitna oglądała się teraz dość często, mówiąc coś do niego. Ten odwrócił się gwałtownie i posłał Guliwerowi spojrzenie, jakim faceci z „Bristolu" obrzucają czyścibutów. Powstrzymał Błękitną mdląco-patetycznym gestem i ruszył w stronę Guliwera. Stanął przed nim w postawie Kanzas — City i rzekł: „Nie depcz nam po piętach, niewyżyty chłystku, bo oberwiesz po ryju" Guliwer milczał, a potem znowu ruszył za nimi. Oglądali się jeszcze od czasu do czasu. Wyżyty w poczuciu samczego obowiązku rwał się do trzaskania, Błękitna w poczuciu samiczego obowiązku powstrzymywała go. I było banalnie. W końcu zniknęli w drzwiach przygodnego kina, a Guliwer wrócił na Wzgórze i po wypiciu [illegible] zasnął na płaszczu pod gołym niebem.

Do uszu Guliwera dotarł dalekł gwizd pociągu. Ocknął się i zobaczywszy słońce upadające na horyzont począł schodzić ze Wzgórza. Znowu szedł Aleją myśląc, że czas już opuścić to miasto, patrzył twardo w oczy schludnych przechodniów. Uznał za stosowne skręcić do mijanej właśnie jadłodajni. Wchodząc nieoczekiwanie napotkał wzrok dziewczyny obsługującej automat do produkowania lodów. Już od dawna nikt tak na niego nie patrzył. Zatrzymał się w olśnieniu. Otrząsnął się zawstydzony, złożył obok stolika swój worek i poszedł zamówić kolację. Gdy wracał, zauważył siedzącą przy „swoim" stoliku jakąś dziewczynę. Usiadł i zaczął jeść. Wkrótce nadszedł jej facet, też z wiktuałami i poprosił, by przeniosła się do zwalniającego się właśnie stolika obok, co uczyniła skwapliwie. Na ogół żaden facet nie przysiądzie się z dziewczyną do stolika, przy którym siedzi jakiś inny facet, jeśli jest choćby jeden wolny stolik na sali. Tak, ludzie nie lubią trójkątów.

Dziewczyna „od automatu" cały czas krzątała się po lokalu. Skończył posiłek i ciężko podniósł się od stolika jak zwykle zaczepiając kolanami o blat. Spojrzał na dziewczynę, która wlewała wodę do swego automatu. Przerwała teraz tę czynność i stała nieruchomo na krześle z białym dzbankiem w ręku. Uśmiechnął się do niej. Uczyniła to samo. Powoli podniósł worek i opuścił lokal nie oglądając się za siebie. Zapadał już mrok i godzina neonów stawała się leniwie. Znowu dopadł go żałosny gwizd pociągu. To wołała go Nostalgia Wysokopienna pozostawiona na dworcu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów Alei, skręt w prawo i już widać budynek dworca. To tutaj skończyła się jego sprawa z Błękitną.

Wczesny ranek. On zdrętwiały z zimna po nocy spędzonej na Wzgórzu. Słońce stało już dość wysoko jakby windowane na niewidzialnej nici. Stał oparty o ścianę dworcowego kiosku. Nagle coś kazało mu się odwrócić. Drgnął gwałtownie. Błękitna Dziewczyna unosiła rękę w słońcu. Od strony pobliskiego hotelu nadjeżdżał czarny Volkswagen. Przyhamował ze swadą i z otwartych drzwiczek z wdziękiem wyskoczył. Wyżyty. Z tyłu tkwiła para dystygnowanych ludzi w więcej niż średnim wieku. Guliwer poczuł w sobie nóż całą zimę trzymany pod przerębią. Oderwał się od ściany i przeciął drogę Błękitnej. W kilku skokach znalazł się przy wozie i zobaczył swoją pięść lądującą między oczami Wyżytego. Potem, jak we śnie, oburącz chwycił jego świeżo fryzowane włosy i z całej siły trzasnął kolanem w dobrze utrzymaną twarz. Na widok farby pociesznie krzyknęła pani w wozie.

Rzucił się do ucieczki, notując jednocześnie w pamięci brak jakiejkolwiek reakcji ze strony Błękitnej. Kilkunastometrowy sprint. Nikt go nie ścigał. Przystanął. Błękitna stała tak jak wtedy na Wzgórzu i mierzyła go spokojnie tym swoim drwiąco — rozpaczliwym spojrzeniem. Wykrzywił usta w uśmiechu i uniósł rękę w pożegnalnym geście. Z wahaniem uczyniła to samo. Wtedy nadbiegła pani z wozu, sądząc po zdecydowanej postawie matka zapewne, i brutalnie chwyciwszy za rękę pociągnęła ją w stronę wozu, gdzie starszy pan poświęcając swą nieskazitelnie białą chusteczkę, udzielał pierwszej pomocy Wyżytemu.

Rys. E. Inglot

Na peron wtoczył się zatłoczony pociąg. Natychmiast oblepiło go morze sylwetek. Guliwer z przyzwyczajenia wsiadł ostatni. Korytarz był w miarę wolny. Dwa okna dalej stała czarnooka — czarnowłosa. Wychylił się przez okno. Na peronie stała jej matka. Starsza kobieta o dramatycznej twarzy. Chodziła wzdłuż pociągu daremnie wypatrując wolnego miejsca. Jej spłoszony wzrok ślizgał się po oświetlonych oknach wagonów.

— Krysiu, usiądź. Poszukaj wolnego miejsca. Gdzieś z tyłu może...

— Ale mamo, mówię ci, że nie ma.

— Na pewno są, tylko trzeba poszukać, dziecko...

— Ale mówię ci, że tylko z przodu są wagony do Olsztyna.

— Krysiu, poszukaj, bo się zaziębisz, albo sobie co zrobisz, patrz, że nikt nie stoi w korytarzu.

— Mamo, naprawdę nie ma gdzie usiąść, może kto wysiądzie w Łodzi, to będzie miejsce.

Było coś tragicznego w niepokoju tej kobiety. Obserwowała w napięciu twarze pasażerów, jakby w nich czaiło się jakieś niewiadome niebezpieczeństwo, mogące ugodzić w jej córkę. Stała jakaś wystraszona i niezrozumiale samotna. Groźna i błagalna. Pociąg ruszył ospale i kobieta pomachała ręką, a Guliwerowi zdało się przez chwilę, że to macha skrzydłami, wypełniony po brzegi niepokojem, zmęczony i niewidocznie zraniony ptak.

W tyle zostały światła miasta. Pociąg zanurzał się w należytych ciemnościach. Krysia usadowiła się na plecaku i pogrążyła w lekturze. Zmęczeni ludzie na ogół spali. Guliwer patrzył w zaokienną ciemność.

Nagle poczuł, że nawet Nostalgia Wysokopienna opuściła go niepostrzeżenie, lecz nie było mu żal. Przyszło bowiem wielkie uspokojenie krwi. Gdzieś na krańcach nocy czekały na niego jakieś nowe miasta, lecz zapomniał ich nazw. Był wśród ludzi, którzy byli tu i teraz, którzy byli pewni swojej twarzy i portfela.

Przestawał wiedzieć. Nie wiedział czy jest noc czy dzień. Ciepło czy zimno. Boleśnie czy tylko zwyczajnie. Jednego tylko był pewien: tam w dole, pod tą brudnozieloną podłogą, uciekała mu spod stóp ziemia. Uciekała mu spod stóp ziemia. Więc jechał tak. Donikąd. Po nic. Do nikogo. Po prostu przed siebie. Jak ruchomy cel znikający w chmurach.

Dańbogi, wrzesień 1974 r.

Kamena str. 11

GARMONDEM

Od dłuższego już czasu w niedziele (szczęściem — nie wszystkie) zdarzają się naszej telewizji programy łódzkiego studia z cyklu: „Uśmiech i piosenka" (ostatni, pt. „Gdy idę przez miasto", usiłowałem oglądać 23 XI od godz. 14.20). Ani to uśmiech — tylko płaski humorek sytuacyjny w oprawie podrzędnego aktorstwa. Ani to piosenka — tylko banalne interpretacje w wykonaniu mizernych głosików. Szczególną zaś mizerotą artystyczną straszą popisy taneczne, sięgające całkowitej amatorszczyzny. W okienku telewizyjnym pojawiają się na ogół te same postacie mało znanych lub wycofanych z obiegu aktorów z Michałem Szewczykiem na czele. Szczególnie upodobali sobie folklor miejski i podmiejski (rodzimy oraz zagraniczny), który podrabiają nieudolnie, „tworząc" powierzchowne stylizacje na niskim poziomie. W sumie — absolutna chałtura, obliczona na trywialne gusta.

pod

Stanisław Ciesielczuk

* * *

Pochowajcie mnie, gdy umrę, gdzieś na polu,
Żeby zboże w lecie chwiało się nade mną,
Żeby dzwonił główkom kłosów i kąkolów
Wiatr, brat miły, swoją pieśń codzienną.

Dom najwięcej kochał zboża rozszeptane
Deszczem myte, słońcem grzane, całowane,

Szumne, drżące,
Szelepiące.

Z mego serca mak wystrzeli i zakwitnie,
Z moich oczu wyrosną dwa kłosy żytnie —
Będę nocą poprzez źdźbeł wąziutkie szpary
Patrzył w świat swój dawny, w sen swój nie- do- wiary...

KŁOS PSZENICZNY

Mgła po łąkach mdło włosy zaplata,
Mrok na drogach w szarym pyle klęka.
Rozkwitają w dali żółte światła:
To wieś w bezmiar patrzy przez okienka.

Nie zasnuwaj, głuchy smutku, zmierzchu.
Niech ból uśnie, niech tęsknota uśnie.
Oto, jadąc na błękitu wierzchoł,
Wielki Wóz pogubił srebrne luśnie.

Nad przyziemnie zjeżone ścierniska
Jeszcze z rzadka żywe strzela zboże —
Chwiane wiatrem w powiewu kołyskach,
Wciąż przed śmiercią sierpiastą się trwoży.

Ku mej ścieżce podszedł z boku zagon
Urodziwej, dojrzałej pszenicy.
Wychylony tajemnicą nagłą,
Złotym kłosem zajrzał mi w źrenice.

Nad dalekim lasem płynął księżyc,
Świat mi w piersi drżał gołębiem białym.
Nie umiałem miłości zwyciężyć —
I pszeniczny kłos pocałowałem.

* * *

Przebudził mnie głęboki głos
Smucącym się wołaniem.
Otwieram oczy: cicho — noc —
Zegara chód na ścianie.

Słucham: a we mnie jakiś szum,
A we mnie żal i drżenie —
O jakby zmilkających strun,
Spłakanych strun westchnienie.

Zamiera sens wewnętrznych łez
W niepamiętaniu nagłem ...
O, cóż to było, cóż to jest?
Czy w nowy sen zapadłem?

I płynę górą, płynę dnem —
W szkle wód, w księżyca wełnie —
I błagam kogoś poza snem:
O, przebudź mnie zupełnie!

Rys. E. Inglot

TYLKO PIEŚŃ

Stanisław Zieliński

„Pomnożony", „zapomniany" — takie przyimkowe złączono z osobą Stanisława Ciesielczuka już wkrótce po jego śmierci, która nastąpiła 26 listopada 1945 roku w Hrubieszowie. Nie będzie też w pełni prawdą, jeśli na zasadzie rocznicowej zechcemy twierdzić, że ten stan rzeczy uległ zmianie i że poeta doczekał się szerokiego przyjęcia u dzisiejszych czytelników. Nie stało się tak. O popularności nie świadczy sesja zorganizowana przez Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie na wiosnę 1962 roku, ponowiona zresztą po nieudanej na jesień roku 1961. Ciesielczuk nie jest popularny.

Złożyły się na to dwa powody: pierwszy, że umarł przeżywszy zaledwie 39 lat. Wprawdzie Czechowicz w chwili śmierci był jeszcze młodszy, a zostawił po sobie ważniejszy dorobek, ale zachodzi tu różnica w krystalizowaniu się indywidualności: Czechowicz swoją wizję osiągnął nagłym rozświetleniem świadomości, Ciesielczuk rozwijał się stopniowo, by w swym ostatnim zbiorze „Teatr natury" dać świadectwo możliwości dalszych zdobyczy. Ważniejszy jest jednak powód drugi. Ten mianowicie, że Ciesielczuk nie znajdował się w paśmie poetyk wojujących o miejsce w panoramie swej współczesności, na skutek czego nie przeszedł do tradycji łącznie z przekazem starć i polemik, a ów egzystencjalny ton jego poezji — ton Życia, Człowieka, Ziemi — nie ma dobrej akustyki w sferze dzisiejszego odbioru. Pochodzi on jeszcze z Młodej Polski, od Kasprowicza.

Antoni Potocki pisząc o autorze „Hymnów" czyni rozróżnienie między „fachowcami" od poezji, a jej „wyznawcami". Ciesielczuk stanowczo należy do kategorii drugiej:

Co chwila nową w świat wchodzimy bramą,
Co chwila nową bramą wychodzimy,
Lecz nie dla sensu bram się posuwamy,
Jak nie dla samych rymów są te rymy.

(*** z tomu „Teatr natury")

A więc poezja ta, niezależnie od stopnia sprawności formalnej, zawsze jest podana ku ludzkiej egzystencji, doli, warunkom bytowania człowieka na ziemi. Wywodzi się z ludowych treści psychicznych i przede wszystkim wiejski pejzażowy krąg ogarnia swym spojrzeniem. Nie jest jednak podobna do poezji autentystów spod znaku Czernikowskiej „Okolicy poetów". Tamci dali urzekająco piękne obrazy wsi, smak wiejskiego autentyku w ich sugestywnych emocjonalnie, a jakże „pełnych" metaforach działa nieodparcie i przynosi satysfakcję prawdziwie poetyckiego przeżycia, ale autentyzm Piętaka, Pietrkiewicza, Ożoga, Janczarskiego, z zamierzenia był daleki od refleksji filozoficznej, a tym bardziej psychicznego rozdarcia czy poczucia tragizmu. Ziemia autentystów karmiła nieustannym urokiem, ziemia Ciesielczuka napawała świadomością wiecznych narodzin, ale i wiecznego przemijania.

Pojmę szał wiatru, chłostanego chłodem,
Pierś się zanurzy ostra bólu żerdź.
Pójdę ... [illegible] ...tuję
Pójdę nad wieczność i zroz... [illegible] śmierć.

(*** z tomu „Pies kosmosu")

Ten z chłopów wyszły, ten chłopski poeta dał wyraz umiłowaniu przyrody, wsi, chaty rodzinnej i znajdujemy to w przeważającej liczbie jego wierszy ujętych w wymowne pod tym względem zbiory jak „Chaty w obłokach" (1927), „Wieś pod księżycem" (1928), „Teatr natury" (1937), ale mimo całej jedności ze światem drzew, kwiatów i zbóż, dźwięczy w tym nuta tragiczna: poczucie śmierci. Śmierci nie tylko jako końca życia, śmierci również jako ostatecznie zadokumentowanej niemożności zrozumienia tajemnic bytu. Osobliwa jest i rzadko spotykana ta postawa pytania o sprawy ostateczne, wyrosła z doświadczeń przecież sprzyjających sielance, a już na pewno malarskiemu potraktowaniu tworzywa. Jakże daleko stąd na przykład do „Młodości Jasia Kunefała". Piętak ulirycznia widzianą rzeczywistość, Ciesielczuk ją widzi tragicznie. To wrażenie jest bezsporne: autor „Głazów i strun" chciałby doznać uspokojenia w kontakcie z kłosem, źdźbłem, strumieniem, ale przez nastrój konsolacji zawsze przebija myśl o śmierci i ona zaprawia próbę roztopienia się w bezmiarze natury poczuciem goryczy. Nawet daremności.

Daremności zrozumienia. Jedyne, według Ciesielczuka, co zostaje, to świadomość niemożności uzyskania odpowiedzi na pytania ostateczne, jeśli ta odpowiedź ma zostać osiągnięta na drodze rozumowych rozważań:

Mózg — to męczeństwem, to błazeństwem —
Broni się przed szaleństwem,
Aż krzyknie: Pleń się,
Śnie — bezsensie!

(„Dwa ekstremy" z tomu „pentaptyk lapidarny")

Poezja nie jest narzędziem myśli filozoficznej. Mimo to często się z nią styka na obszarze poszukiwań sensu istnienia, nie partnerując jej w konstatacjach intelektualnych, choćby w rudymentarnej terminologii wyrażonych, lecz opisując emocje dochodzenia do prawd ludzkich. Ciesielczuk prezentuje skrajną postać owej „filozoficznej emocjonalności", dlatego bardziej niż z Asnykiem łączy go duchowe pokrewieństwo z Micińskim. Nie należy jednak sądzić, by odbyło się to na drodze wpływów czy zapożyczeń. Narodziny postawy odbyły się niezależnie od lektur. Zresztą w poezji Micińskiego jest sporo mistycyzmu i metafizyki, które u Ciesielczuka w tej postaci nie występują.

Oprócz uświadomionej daremności zrozumienia jest jeszcze jedno w odpowiedzi temu ostatecznemu determinantowi, jakim jest śmierć: poezja. Przypomina się Lechoniowskie „Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci". Ciesielczuk twórczość poetycką utożsamia z miłością, z aktem życia, z ocaleniem poprzez wszystko co człowiek na tej ziemi ukochał i przez co będzie żył wiecznie. Znamienny pod tym względem jest jego wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów „Pochowajcie mnie". Napięcie osobowości w akcie twórczym Ciesielczuk ceni tak wysoko przez to przede wszystkim, że jest to go... gwałtowne spełnienie całemyśli, kre... jednym rzucie woli, pedantyczne oko dojr... Owszem, tutaj sprzeczności. Bo jeśli... się gnieniem człowieka jest przetrwać, a pomocą ku temu ma być panpsychiczne utożsamienie się z przyrodą, to twórczość poetycka jako przeciwstawna anonimowemu rozpłynięciu się w bezpamięci nie powinna w stosunku do przyrody znajdować się w opozycji. Tymczasem:

Zapatrzony w zorzę ostateczną,
Pragnę rzucić świat, zapomnień pleśń...
Tylko wieczność — wielka...
Tylko wieczność!
Tylko pieśń — prawdziwa...
Tylko pieśń!

Więc nie jest to opozycja. „Wieczność" i „twórczość" dla Ciesielczuka jest pojęciem niesprzecznym w stosunku do „świata", jest jedynie nadrzędnym w tym samym ciągu logicznym, jak motyl nie jest przeciwieństwem larwy, z niej się wywodząc. Co najwyżej możnaby mówić o pewnej dwoistości postawy poetyckiej, jeśli chodzi o „pierwszą materię" poetyckiego tworzenia. Najpierw była nią wieś, konkretna wieś, ojczysty zagon, wiśniowy sad, później te elementy doznały transformacji w sferę jakby filozoficznych archetypów, skoro mówi się o ziemi w ogóle, o drodze w ogóle, w każdym razie w oderwaniu od tych konkretnych hrubieszowskich realiów, które tak wyraźnie sekundują pierwszym chronologicznie strofom. Jest to jednak zjawisko naturalne i w rozwoju poety uzasadnione: wiek dojrzały wzbogaca się o refleksję tam, gdzie w wieku młodzieńczym istnieje bezpośrednia zmysłowa fascynacja.

„Tylko pieśń". Czyżby następnym etapem poetyckiej ewolucji miał być jakiś niedoszły do skutku parnasizm, akmeizm, eskapizm? „Tylko pieśń" — jako wyłączność postawy formalistyczno-estetycznej? Pytanie to raczej retoryczne. Ciesielczuk był zbyt zaangażowany w rozstrzyganie poezją ważnych spraw ludzkich, by miał poprzestać na czynności zręcznego układania słów, satysfakcji z udanej roboty literackiej. Nie był znawcą, był wyznawcą poezji. W tym kontekście „tylko" znaczy „aż". Aż tak wiele obiecywał sobie po dokonaniach twórczości, aż tak wiele pragnienia wkładał w sens ujęcia słowem wszystkiego, co się składa na życie ludzkie.

Dość istotnym składnikiem jego postawy wobec życia jest polemiczny ton w stosunku do współczesnego sobie społeczeństwa. Jego karierowiczostwu, jego pogoni za pieniądzem, jego lekceważeniu przyjaźni, godności, moralności nie szczędzi słów przygany. Sam skromny i cichy, nie zabiegający o powodzenie w banalnych mieszczańskich kategoriach korektor „Ekspressu Wieczornego" zdobywał się w stosunku do swego otoczenia na ironię, nie pozbawioną postępowych akcentów ideologicznych.

Może dość już będzie tych żądań,
Może dość już będzie tych rad!
Pieśń wykuwa mimo urągań
Niewidzialny najtrwalszy ślad.

W bójkach waszych o zysk, o władzę
Niech rozstrzyga pieniądz lub miecz.
Pieśń na innej waży się wadze —
I od pieśni, panowie, precz!

(*** z tomu „Teatr natury")

Trzydzieści lat to w dzisiejszej epoce epoka. Nie sposób oczekiwać, by poezja Ciesielczuka weszła w krwiobieg powszechnego czytelnictwa. Pozostanie z pewnością zjawiskiem — jak zresztą wiele z lat międzywojennych — izolowanym. Ale nieraz się zdarzy, że po tego autora wiersze zebrane sięgnie czytelnik, by znaleźć tam przeżycia ludzkie, godne, ważne, swoje. I na tym polega wygrana prawdziwej, choćby zapomnianej poezji.

Odpowiedzi redakcji

A. G. Kraków. Czy jest Pani zadowolona z porównania „krwiste jak krew"? Takie porównania można fabrykować na kopy. Zielona zieleń, trójkątny trójkąt, maślane masło. To już wyjaśnia, dlaczego nie będziemy mogli skorzystać.

A. Z. Kielce. W pańskim wierszu jest pewien element horacjański. Kiedy Pan mówi o sobie „niezniszczalny w słowie", przypomina się Horacego „non omnis moriar". Gratuluję.

F. K. Biłgoraj. Zgodnie ze swoim niefrasobliwym założeniem nie wkłada Pan za dużo pracy w pisanie wierszy. Mimo to jeden z nich (Z Bieszczad) zatrzymaliśmy w tece redakcyjnej. Liczymy na to, że ewentualnie druk zdopinguje Pana do większego wysiłku, który warto podjąć.

J. M. Puławy. Że są to początki, widać od razu. Źle tylko, że tak ostrożne. Żadnego ryzyka, żadnej młodzieńczej śmiałości, żadnego problemu. Poprawny stylistyczny garnitur który krępuje swobodę. Poza tym niektóre zdania aż karalne, np.: „Przy postoju taksówek pożegnała się z nim dając do zrozumienia, że nie chce, żeby ją dalej odprowadzał". Czy jednak wszystko przekreślone? To się zobaczy po kilku próbach. Jeśli je Pan podejmie, radzę wystrzegać się nijakich scenek, do których ma Pan skłonność.

Jan K. Wiersze te nie są zupełnie pozbawione wartości, jednakże też nie są wolne od pustych konstatacji. Że Pegaz powinien być rączym rumakiem, że do domu dzieciństwa chętnie chcemy powrócić, że ruiny to kości porzucone w trawie... Ilustracyjki, landszafciki. W wierszu musi być walka o nowy wyraz. Wtedy nawet klęska posiada znaczenie.

K. C. Lublin. Dlaczego tak się dzieje, że więcej interesujących sformułowań jest w tekście pańskiego listu niż w wierszach, wolałbym na odwrót. Wiersze są mdłe, banalne, nieodkrywcze. Jesienie, jaśminy, „sady kwieciem umajone" to płyty już tak zgrane, że aż przykro słuchać. W tych warunkach ja, starszy pan, proponuję dyskotekę. Przepraszam za szczerość, ale odpowiedź złagodzona konwenansem towarzyskim nie spełni swej roli, a doping bywa przydatny również w poezji.

P. M. Puławy. Nie odpowiadamy na każdą przesyłkę nie dlatego, że jesteśmy zawaleni materiałem, choć to prawda, ale dlatego, że nie o wszystkich tekstach da się coś powiedzieć. To właśnie zachodzi w pańskim wypadku. Bo cóż odpiszę, że wiersze nieudane, czy to Pana zadowoli? Z pewnością pomyśli Pan, że stała się rzecz najnormalniejsza, skoro jeszcze jeden redaktor nie poznał się na dobrym utworze. A okrągłymi zdankami ominąć prawdę? Ani Panu ani mnie to nie jest potrzebne. Więc może mieć tu miejsce jedyna odpowiedź: nie skorzystamy. Chyba, że zacznie Pan pracować nad sobą, zastanawiać się co to jest poezja, formować środki wyrazu. Bo to, co czytamy w nadesłanym wierszu, że „ty i ja", to dwie deski zbite gwoździem podobnych uczuć... Głosowałbym za pierwszym miejscem w konkursie za komizm mimowolny.

R. S. Lublin. Ta przeklęta nijakość! Najgorszy wróg poezji! Zgiń maro! Bo nawet w najczystszej krwi grafomaństwie spotykamy zwroty, z których się można przynajmniej serdecznie pośmiać. Tu się zgadzamy, kiwamy aprobująco głową i — nie doznajemy najmniejszego nawet odruchu wzruszenia. Może czymś innym będą te — o których Pan wspomina — krótkie formy prozatorskie?

P. M. Puławy. Pański list jest dłuższy od nadesłanego wiersza, a wiersz zaprzecza życiowej postawie w liście wyrażonej. Nie dlatego, że zawarta jest w nim propaganda szczerości. Dlatego, że szczerość ukazana tam została w sposób nieciekawy, szary i banalny, a taka odstręcza się jako norma do praktykowania w życiu. Szczerość to wielka wartość i dlatego trzeba umieć o niej pisać.

J. B. Stara Wieś. Przede wszystkim musi się Pan sam zdecydować, jak traktować te wiersze: czy są to nie zawierające ambicji literackich zapisy ewenementów z życia towarzyskiego, czy próby znalezienia siebie, za jakie należy uznać usiłowania poetyckie. Jeżeli to pierwsze — wszystko w porządku. Wiersz nie jest zmanierowany jakże często zdarzającym się dziś cynizmem i nihilizmem, przekonuje prostą prawdą przeżycia, jest — że tak powiem — dobrze wychowany. Ale inna sprawa, kiedy ma to wszystko mieć walor poetycki. Tu potrzeba pracy poszukiwawczej wśród słów. Nie wystarczy „w ogrodzie mych marzeń stąpasz wśród kwiatów", a już godzien napiętnowania jest „czasu gest", dla rymu przyciągnięty za włosy dziwoląg. Proszę nie posądzać mnie o niedostrzeganie tych godnych aprobaty stanów ducha, które Pan w swych wierszach prezentuje, ale wymaganie rzemieślnicze to takie uparte bydlę, że nic tylko mu zadośćuczynić. I właśnie tego życzę.

H. G. Lublin, GW. Krosno, D.K. Rzeszów W.N. Iława, E.O. Warszawa, J.M. Piechowice, „Barbara" Stoczek Łukowski, L.B. Lublin, J.J. Grudziądz, D.M. Chełm, Z.W. Lublin, BoK, J.G. Gorzów Wlkp. J.W. Warszawa, J.M. Jelenia Góra, J.S. Toruń, M.A.L. Garwolin, K.W. Ryki, A.K Zamość — nie skorzystamy.

Szyfrogram literacki (nr 25)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment noweli laureata Nagrody Nobla — polskiego pisarza, którego 50 rocznica śmierci przypada obecnie. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec zdania.

Wyrazy pomocnicze

21. 10. 141. 106. 81. 37. 143. 123. 50 — imię pisarza, o którym mowa na wstępie,
22. 30. 114. 52. 146. 29. 20. 23. 64 — drugie imię jego,
17. 4. 19. 89. 134. 113. 41 — nazwisko tego pisarza,
8. 122. 25. 107. 65. 137 — jego największe dzieło,
34. 16. 46. 2. 79. 126 — popularna ryba, krewniak karpia,
6. 130. 48. 27. 40 — pstry ptak wróblowaty,
72. 53. 18. 138. 36 — miła morska na godzinę,
39. 140. 127. 101. 32. 26 — podziemny pęd wieloletnich roślin zielonych,
44. 3. 33. 92. 121. 98 — miasto Stefana Żeromskiego,
94. 131. 1. 49. 120. 112 — przedstawiciel sprawiedliwości,
7. 24. 15. 109. 55. 125 97. 66 — naśladownictwo,
133. 144. 5. 57. 28 93. 43 — nie — miecz,
76. 35. 12. 47. 62. 51. 110 — dzień poprzedzający pewne święta,
58. 31. 80. 96. 9. 91 — miejsce kury,
67. 132. 11. 14. 88 — powieść Camusa,
70. 84. 90. 103. 54. 60 — utwór, wielka praca,
108. 102. 128. 117. 38. 74. 111. 45 — podpora kulawego,
136. 100. 13. 68. 119 — pancerna jednostka bojowa,
104. 75. 61. 73. 59. 129. 77 — ma czynne prawo głosowania,
116. 118. 142. 95. 124. 105 — zaklęte u Worcella,
71. 145. 83 — rzeka z historii Ludowego Wojska Polskiego,
115. 82. 42. 99. 139 — zadanie flesza,
135. 85. 69 — stolica Baszkirskiej ASRR,
87. 56. 78. 63. 86 — kwiat z ballady Mickiewicza,

1	2	3	4	5	6	7	8	■	9	10	11	12	13	■	14	15	16
17	18	19	20	■	21	■	22	23	24	■	25	26	27	■	28	■	29
30	31	32	33	34	35	36	■	■	37	38	39	40	■	41	42	43	44
45	■	46	47	48	■	49	50	51	52	53	54	55	■	56	■	57	■
58	59	60	61	62	63	■	64	65	66	67	68	69	■	70	71	■	72
73	74	75	■	76	77	78	79	80	81	82	83	■	84	■	85	86	87
88	89	90	■	91	92	93	■	94	95	96	■	97	98	99	100	101	102
103	■	104	105	106	107	108	109	110	111	112	■	113	114	■	115	116	117
118	119	■	120	■	121	122	123	124	125	126	127	128	■	129	130	131	132
133	134	■	135	136	137	138	139	140	141	■	142	■	143	144	145	146	■

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 23 był fragment „Hymnu o zachodzie słońca" Juliusza Słowackiego:

„Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr 23 cztery bony książkowe po 40 złotych każdy, wylosowali: Roman Senski, ul. Most Pauliński 12/14, 87-100 Toruń; Teresa Rachwalska, ul. Łanowa 113 m. 42, 91-110 Łódź; Waldemar Pieśniak, Krak. Przedm. 53/27, 20-076 Lublin; Jadwiga Burchacka, ul. Bukowińska 50/7, 02-703 Warszawa.

Uwaga: w następnym numerze krzyżówka-gigant!

listy do kameny

„DOBRY CZŁOWIEK NA BIZONIE"

Po przeanalizowaniu treści artykułu pt. „Dobry człowiek na Bizonie" („Kamena nr 18 z 1975 r.), Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Kamieniu w woj. chełmskim przyznaje, że uwagi kierowane pod naszym adresem ujawniają ówczesną rzeczywistość. Jednak dobrze zaopatrzony w niezbędne części zamienne magazyn oraz dobrze zorganizowana praca warsztatu pozwoliły w efekcie na bieżące uporanie się z pojawiającymi się problemami.

W ostatecznym wyniku założony plan koszenia zbóż, omłotów i wykopków został zrealizowany, a nawet przekroczony.

Jesteśmy przekonani, że problemy bieżącego roku nie będą miały miejsca w naszej SKR w roku przyszłym i następnych latach.

Jeśli chodzi o fermę letniego tuczu trzody chlewnej, to nie jest ona przydatna do dalszego tuczu, mimo że jej wybudowanie kosztowało ponad 1,5 mln zł (łącznie z budynkiem socjalnym). Dlatego ferma musi być poddana modernizacji, co nastąpi w najbliższym okresie. Modernizacja zostanie zakończona najdalej do dnia 15 marca 1976 r. Umożliwi to tucz trzody chlewnej w warunkach, jakie stawia służba weterynaryjna.

Dyrektor SKR
Jan Stawicki

PUŁAPKI REGIONALIZMU

Z pewnym rozbawieniem — które zamieniło się jednak w zażenowanie — przeczytałem w „Kurierze Lubelskim" z 14 listopada br. notatkę zatytułowaną „Nowy znaczek z błędem". Autor ukryty za literkami „(gal)" zdecydowanie rozprawił się — widać działanie anonimowe przydaje animuszu — z grafikiem, który zaprojektował znaczek pocztowy wydany z okazji Międzynarodowego Roku Ochrony Zabytków. Cytuję: „na znaczku wartości 1 zł, Kazimierz Dolny, projektantowi S. Maleckiemu zdarzyła się fatalna pomyłka. Pod obrazkiem kamienicy „Pod Krzysztofem" umieścił błędny napis: Przyszłość dla przeszłości. Ma być, właśnie wręcz odwrotnie, to przeszłość powinna stanowić o przyszłości. Taka jest idea i sens całego Międzynarodowego Roku Ochrony Zabytków, a poza tym napis ten, umieszczony na domku Czartoryskiej — Sybilli w Puławach, brzmi zgrabniej: Przeszłość przyszłości, bez zbędnego d l a. Aż dziw bierze, że tej gafy we wczesnym stadium produkcyjnym nie wyłapało grono adiustatorów i konsultantów".

Zarzut „(gal)" stawia tyle poważny, co absolutnie bezpodstawny! S. Malecki nie popełnił żadnego błędu, grono (?!) adiustatorów i konsultantów nie oślepło. „Przyszłość dla przeszłości" to tłumaczone z francuskiego oficjalne hasło owegoż roku ochrony zabytków, widniejące również na wydanych z tej okazji plakatach, rozlepionych zresztą w Lublinie. Przystąpiliśmy do tej potrzebnej akcji międzynarodowej, honorujemy wspólne ustalenia programowe, dotyczące m. in. treści i form działalności propagandowej. Nie potrzeba zresztą wiedzieć o tych elementarnych faktach zbyt wiele, aby całkowicie zaakceptować treść krytykowanego hasła. Okoliczności zmuszają przecież do rzeczowego wyjaśnienia istoty ideologicznej owego zdania. Chodzi więc o to, aby zabytkom zapewnić godziwą opiekę, tak o nie dbać, aby długie jeszcze lata istniały. Inaczej jeszcze mówiąc: „zapewnijmy p r z y s z ł o ś ć naszej przeszłości, naszej tradycji architektonicznej etc". To jasne jak słońce!

Marian Wiśniewski
Lublin

WRAŻLIWOŚĆ

Byłem niedawno wraz z synem (9 lat) w kinie „Wyzwolenie" w Lublinie, gdzie wyświetlano komedię „Przygody Włochów w Rosji". Widownia składała się w zdecydowanej większości dzieci i młodzieży. Kiedy na ekranie pojawiły się sekwencje kolorowego, animowanego dodatku pt. „Paradis", obrazu o wielkiej urodzie plastycznej i ciekawej metaforyce, ta młodzież — nie dzieci! — dała koncert złego smaku, braku minimum wrażliwości estetycznej, mówiąc do końca — zwykłego chamstwa. Ryki, piski, trywialne komentarze i tym podobne efekty dźwiękowe towarzyszyły projekcji interesującej krótkometrażówki, której zakończenie przyjęto z wyraźną ulgą. Podczas wyświetlania samego filmu to „smakowanie" tylko lekko zelżało. Po pewnym czasie zorientowałem się, że na sobotnim seansie (godz. 13) przebywa młodzież z jakiegoś lubelskiego liceum ekonomicznego. Zrobiło mi się strasznie w duszy. Przecież ta młodzież nie wykazała odrobiny kultury — zarówno plastycznej, jak i obyczajowej!

Znajomy, któremu opowiadałem swoje przeżycia w kinie „Wyzwolenie", zbył mnie wzruszeniem ramion i krótką uwagą: — Dziwisz się, bo widocznie nie byłeś na „młodzieżowym" seansie w kinie „Robotnik" czy „Przyjaźń". Tam to jest prawdziwa bonanza!

Jan Kurzynowski
Lublin

POM-MECENAS

Kapela ludowa ze Skrobowa w woj. lubelskim zdobyła sobie zasłużoną popularność wśród publiczności i dziennikarzy. Dowcip, brawura, przyjemne melodie, młodzieńczość — oto niepodważalne walory tego zespołu. Nie wszyscy przecież wiedzą, że kapela istnieje i działa dzięki wszechstronnej pomocy Państwowego Ośrodka Maszynowego w Skrobowie. Warto o tym przypomnieć także i z tego względu, że jest to POM bardzo dobry, doskonale zorganizowany, cieszący się dobrą opinią rolników, a przy tym coś tam jeszcze produkujący. Czy nie daje do myślenia ten charakterystyczny związek: wzorcowego przedsiębiorstwa obsługi rolnictwa z bardzo dobrym zespołem artystycznym?! Czy nie jest to przejaw socjalistycznego mecenatu artystycznego?!

Anna Kunysz
Lubartów

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50. Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do dnia 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty.
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne oraz wszelkiego rodzaju inne zakłady pracy składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch".
Zakłady pracy w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa—Książka—Ruch" ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2706. 22.XI.75.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Nr indeksu: 36409/2625

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji

falsetem

Prawie Różana

SIENNICA Różana. Wieś z dużymi tradycjami kulturalnymi, położona w odległości kilkunastu kilometrów od Krasnegostawu. Po reformie administracji znalazła się w obrębie województwa chełmskiego.

Godzina piętnasta. Obskurna gospoda ludowa o wdzięcznej nazwie „Switezianka" niemal pusta o tej porze. Świstek papieru imituje „menu". Z „bogatego" zestawu dań decydujemy się na kurczaki. Niestety, okazuje się, że jest tylko jedna porcja. Pozostają... jajka z ziemniakami. Ale i te zjawiają się na stole w dwóch „turach". Kelnerka tłumaczy, że jest tylko jedna patelnia(!).

Gospoda należy do Gminnej Spółdzielni. Niedawno słyszałem, jak prezes chwalił się osiągnięciami. Nie neguję ich, ale wydaje mi się, że prezes powinien jednak od czasu do czasu przynajmniej zajrzeć do podległej sobie placówki zbiorowego żywienia.

Naczelnik gminy, Ryszard Stasiuk, powie mi potem: „Nie mamy kadr. Kierownik lokalu otrzymywał już nagany ale kogo damy na jego miejsce?" Nie wiem. Może jednak gospodę oddać Kołu Gospodyń Wiejskich? A może i tutaj pozwolić wykazać się młodzieży?

Piszę „i tutaj", bo młodzież zrzeszona w ZSMW ostro wzięła się do pracy. Przez pięć(!) lat krasnostawska Spółdzielnia Budowlano-Wytwórcza (ul. Grobla 29) nie mogła uporać się z remontem, a może ściślej — przebudową, Gminnego Ośrodka Kultury w Siennicy Małej. A to brak materiałów, a to brak ludzi, przede wszystkim jednak brak... dobrych chęci. Mieszkańcy wsi, a głównie młodzież, co tu dużo mówić, „zaagitowana" przez instruktora RW FSZMP, Andrzeja Madejka, bez wielkich narad i transparentów zakasała rękawy: jej czyn ocenia się na 40 tysięcy złotych! Naczelnik Stasiuk, który sam jeszcze nie tak dawno przekroczył trzydziestkę, własnym samochodem woził wapno na budowę. (Gdzie znaleźć takiego naczelnika? — pytał mnie później Andrzej Madejek).

Fakt. Naczelnik troszczy się o młodzież niczym o własne dzieci. W Siennicy Różanej gmina zakupiła od prywatnego właściciela pokaźny, murowany budynek za ćwierć miliona złotych. Jest w nim biblioteka, czytelnia. Można spędzić czas przy telewizorze. Oczywiście kolorowym, bo czarno-biały to żadna atrakcja. Jedno z pomieszczeń przeznaczono na Gminny Ośrodek Pracy Ideowo-Wychowawczej. A na dole znajdzie się kawiarnia — piwnica z prawdziwego zdarzenia. Pomyślano i o kominku. Zapewne, gdy ten numer „Kameny" ukaże się w kioskach, będzie już po uroczystym(?) otwarciu.

— Obecnie — mówi naczelnik — przystąpiliśmy do ogrodzenia tego naszego domu kultury. Jest przy nim plac, tam chcemy urządzić „zieloną świetlicę". W sobotnie wieczory młodzież będzie miała gdzie tańczyć. Przed domem zasadzimy krzewy różane (Siennica Różana!)

Władze gminne mają wiele spraw na głowie, ale kulturze poświęcają szczególną uwagę. W kilku wsiach powstają remizy strażackie i świetlice. Rozwiązuje się problem dróg, bardzo tu nabrzmiały. Chodzi o lepsze połączenie z Krasnymstawem i Chełmem. W Krasnymstawie trwa budowa cukrowni. Już dziś myśli się w Siennicy Różanej o tym, by nie wozić buraków okrężną trasą. „My pomożemy w budowie drogi, ale chcemy, aby w przyszłości cukrownia objęła patronat nad naszym Gminnym Ośrodkiem Pracy Ideowo-Wychowawczej" — spogląda perspektywicznie I sekretarz Komitetu Gminnego Józef Jóźwiszyn.

Może więc niepotrzebnie czepiam się tej obskurnej gospody „Switezianka"? Ale kultura niejedno ma imię. Zziębnięty gość, który przyjeżdża do Siennicy Różanej, ma prawo pierwsze kroki skierować właśnie tam. Wyjdzie głodny i wściekły, przekonany o bezradności miejscowych władz. A to przekonanie będzie bardzo dla władz krzywdzące...

MAJ

minuta myślenia

Mięśnie kosztują

TEMAT sport coraz szerzej wchodzi na arenę uwagi społecznej, zajmując miejsce na łamach czasopism, znacznymi odcinkami wypełnia program radia i telewizji. Nie potrzeba odwoływać się do czasów pierwszej olimpiady (1896), kiedy panowie zawodnicy występowali w kostiumach przypominanych jeszcze na estradzie przez Ludwika Sempolińskiego, by stwierdzić zasadniczą zmianę, jaka dotyczy społecznego statusu sportu. Dawniej był on zajęciem mimo wszystko marginalnym, dobrze jeśli przynoszącym od czasu do czasu pożądany listek wawrzynu, ale za narodową wizytówkę, a tym bardziej wyznacznik narodowego honoru, nie uchodził.

Dziś nie wyobrażamy sobie, by okres eliminacji do mistrzostw Europy nie obfitował w burzliwe rodaków rozmowy, a porażka nie mobilizowała opinii społecznej tej w wymiarze fachowym i tej w kibicowskim. Ba, sport stał się domeną kultury. Bohdan Tomaszewski referując wydarzenia z bieżni, skoczni i kortów wykazuje zaangażowanie wykładowcy prezentującego nowe zjawiska socjologii i filozofii. Sam fakt, że trybuny meczu piłkarskiego zapełnione są taką ilością widzów zmusza do ujrzenia nowej jakości w dziedzinie obyczaju, gustów, praktyki społecznej. Coraz więcej, coraz wyżej, coraz mocniej dotyczy nie samego wyczynu, ale również tej sfery publicznego zainteresowania, która dziś stanowi nieodzowny akompaniament sportowych zmagań.

„Polska gola!" Gola nie wbija Deyna czy Szarmach. Gola wbija Polska.

Poszło naprzód. Już nie chodzi o same wyniki. Poszło naprzód w dziedzinie organizowania osiągnięć. Już nie sam talent, nie sama wola zwycięstwa liczy się na szali sukcesu. To czterdzieści lat temu australijski owczarz Lovelsęn mógł wygrać olimpiadę po raz pierwszy stosując, zdawało się wówczas, straceńczy długi finisz w biegu na 1500 m, tak w końcu entuzjastycznie przyjęty nie tylko przez olimpijską widownię, ale cały sportowy świat. Dziś pierwszeństwo na mecie musi poprzedzić cały zespół ćwiczeń, forsownych treningów, kontaktów na międzynarodowych poligonach sportowej walki. Ba, nie może się obejść bez pomocy nauki. Trenerem Borzowa nie jest doświadczony wyga od startów, pracy rąk, rytmizowania oddechu, ale profesor biologii. Olimpijczycy jak astronauci przechodzą szereg prób w wytworzonych oprzyrządowaniem sztucznych warunkach. Oprócz produkcji obuwia i blach walcowanych na zimno istnieje resort produkowania wyczynu.

Jest w dzisiejszym sporcie pewien element, który na długi chyba czas zostanie objęty zagadnieniem rozwiązywanym niedefinitywnie, bo obfitującym w sporne konstatacje: a właściwie co to jest. Amatorstwo? Zawodowstwo? Każdy, kto o sporcie myśli nie w kategoriach zaciekawienia telewizyjną transmisją przy herbatce, ale w wymiarze zainteresowania jedną z najpiękniejszych idei ludzkich, musi sobie to pytanie zadać, by wreszcie stwierdzić, że jednoznacznej odpowiedzi nie znajduje. Owszem, można stanąć na stanowisku ortodoksyjnym i upierać się, że dzisiejszy sport rozwija się w swoim jeszcze coubertin'owskim założeniu. Ale skoro do jego uprawiania potrzebne jest oderwanie zawodnika od pracy zawodowej i stworzenie mu warunków wyizolowanych z trudności codziennego życia, to dzisiejszy zawodnik wyczynowy znajduje się niemal w inkubatorze.

Gdzież więc szlachetna bezinteresowność i czystość postawy sportowej odziedziczona tradycją z czasów helleńskich? — zakrzyknie rygorysta. Właściwie będzie miał rację. Tyle tylko, że ani odrobinę mniejsza znajduje się w stanowisku przeciwnym. Rozumujemy tymi samymi kategoriami zapaleńczo sportowymi. Czy nie jest jednym z zasadniczych założeń sportu wycisnąć z człowieka owo „naj", ten rezultat znajdujący się na „granicy możliwości"? Czy prawdziwy amator sportu zgodzi się, by maksymalny wynik nie został osiągnięty przez okoliczności nie mające nic wspólnego z możliwością samych mięśni? Czy nie zszarzeje sport, jeśli pozbawimy go warunków sublimujących go ku wysiłkowi jedynemu jaki się tu liczy, wysiłkowi przekraczania własnych rekordów? Proszę państwa, człowiek skoczył już 8,90 m w dal, 2,29 m wzwyż. Tego się nie osiąga spacerkiem. To dzieło talentu Beamona i Macdorfa, ale za tym stoją szeregi działań organizacyjnych, zaangażowanie państwa, instytuty. Nie może być inny dzisiejszy sport.

Przy tym powiedzmy sobie na ucho, że i w starożytnej Grecji pewne formy zawodowstwa były próbowane, a już bezspornie możemy stwierdzić, że od VI wieku przed naszą erą zwycięzca olimpijski w Atenach otrzymywał nagrodę pieniężną w wysokości 500 drachm i do końca życia był zwolniony z podatków.

Zbliżamy się do roku pięciu kółek i z jeszcze większym naporem sprawy sportu będą atakowały naszą świadomość, jak również środki publikacji. Przypuszczalnie zmieni się hierarchia potęg sportowych, tabela rekordów, giełda popularności. Z pewnością zmienił się już charakter sportu, który ma się tak do niegdysiejszego, jak lokomotywa lux-torpedy do parowozu Stephensona, kamera filmowa do dagerotypu Daguerre'a, odrzutowiec do dwupłatowca braci Wright.

Ijon

BIEDRONKA LOSU CZŁOWIECZEGO*)

ROZDZIAŁ I

USŁYSZAŁ szelest różowej sukienki, a właściwie różowego kostiumiku, dwa stuknięcia bucików na modnych wysokich obcasach, a potem przesunięcie dłoni po alabastrowych udach. Nie zapalał światła. Po ciemku zbliżały się ich wijące się jak sprężyna ciała i zwarły się w sprowokowanym uścisku, rozumiejąc dogłębnie i bez reszty każdą aluzję.

— Kochaj, kochaj — szeptała mu w narastającym rytmie alabastrowego ciała.

W ciemnym pokoju starej przedwojennej kamienicy, wynajętym od parszywego kamienicznika, lat 62, o niskiej krępej budowie, zdani byli sami na siebie i na swoje pożądliwe pełne włosko-hiszpańskiego temperamentu ciała.

Zbliżały się święta i to odosobnienie, długie zimowe wieczory były chwilami przeraźliwie puste, mimo aksamitnego ciała dziewczyny, a właściwie już kobiety.

On próbował skupić się na pisaniu nowej powieści, ale jakoś mu nie szło. Sam wynajdywał sobie przeszkody, by oderwać się od wytężonej koncepcyjnej pracy ideowo-twórczej. Byle skrzyp schodów, byle głos z ulicy, czy zaćmienie księżyca, podrywały go od barokowego biurka i zmuszały do leniwego marszu po pokoju wynajętym za 1200 zł, tj. po paskarskiej cenie, lub wyglądania przez okno na smutną ulicę, gdzie stały trzy przekupki-paskarki w baranich kożuszkach, możliwe że bułgarskich.

Nie mówili prawie do siebie od tej pory, gdy całując jej pokryte brzoskwiniowym puszkiem plecy i alabastrowe piersi, w najwyższym uniesieniu przegryzł sobie język, który potem długo krwawił. Szeptała mu wówczas dziewczyna, a właściwie już kobieta, że niepotrzebnie szarżuje i scałowywała zamknięte od bólu jego południowe oczy. A on brał do ręki, zasadniczo do lewej, ponieważ był mańkutem, książkę pt. „Modlitwa do ciała czyli ekwiwalencja potencji uczuć wysublimowanych" i spod opuszczonych powiek obserwował jej prężące się ciało, miękko spoczywające na bladowiśniowej kanapie, kupionej po przystępnej cenie od przyjaciela z lat szkolnych.

Nocami brał ją w ramiona rozkołysane dzienną weną twórczą, w ramiona mocarne jak dąb, i szeptał jej do najcudowniejszego uszka świata fragment nowego poematu, stworzonego przy barokowym biurku w pokoju za 1200 zł miesięcznie, płaconych z góry:

Nastał czas, by żyć jak zwierzęta.
Próbować piersi, któreby wieki przetrwały
i chronić w nich trwałości marmuru.

Nastał czas, by rodzić samego siebie
w tysiącach scen antytrylogii,
chwytając za skrzydła biedronkę losu
człowieczego.

*) Jest to fragment nowej powieści lubelskiego autora po solidnej adiustacji, której dokonał

Ryszard Dunin

Rys. W. Fuglewicz

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

(22)

Michał nie dał sobie tego samego dwa razy powtarzać i zszedł na dół. W kącie znalazł wolny fotel. Rozsiadł się wygodnie; wcale nie spieszyło mu się do domu. W tym klimacie wyraźnie odpoczywał. Gdyby próbował tłumaczyć Haltnie, że odpręża się w oparach dymu, otoczony zewsząd przez bardziej czy mniej zawiane towarzystwo, wyśmiałaby go z całą pewnością. Niejednokrotnie jednak po dniach pełnych napięcia, kiedy penetrował teren, kiedy wgryzał się w ludzkie sprawy, kiedy wysłuchiwał sprzecznych opinii, chętnie znajdował się właśnie tutaj. Przychodził choć na godzinę, choć na pół, niekoniecznie po to, aby opróżnić kieliszek. W „Dziurze" czuł się swobodnie, wiedział, że może wyciągnąć nogi, wysoko oprzeć głowę, przysiąść się do byle jakiego stolika, zakląć nawet. Wszyscy na ogół znali się ze sobą, wiedzieli, co kto reprezentuje, jak w takiej czy innej okazji ten czy tamta potrafi się zachować. To jest wyższość klubu nad restauracją, gdzie w zasadzie znają się tylko ci ludzie, którzy siedzą bezpośrednio obok siebie...

— O, Michał! Dawno cię nie widziałam. Chorowałeś? Czarnowłosa dziewczyna zbliżyła się do stolika. — Można koło ciebie usiąść?

— Proszę cię bardzo. Samotna jesteś?

— Tak się złożyło. Porzucił mnie kolejny narzeczony. Wszyscy jesteście jednakowi.

„Do licha, jak ona ma na imię?" Michał daremnie usiłował sobie przypomnieć. Pamiętał jak tu, kilka miesięcy temu, pili bruderszaft, taki staromodny, z całowaniem. Czarnowłosa dziewczyna wcale nie była czarnowłosą tylko blondynką, a koło niej kręcił się pewien plastyk czy architekt, który tylko momentami mówił do rzeczy. Ale wówczas „te rzeczy"... proponował. A potem zjawił się jakiś niedokończony lekarz, który co chwila zrywał się z krzesła i wołał: „Wodzu, prowadź na Kowno!" Ostatecznie bez Wodza, o własnych siłach, poszedł do toalety i tak się rozpędził, że przeskoczył Kowno i znalazł się w samej Rydze. Te „dalekie" wędrówki nie należały jednak w „Dziurze" do codziennych wydarzeń.

Czarnowłosa, jakby czytała w myślach Michała, bo przyszła mu z niespodziewaną pomocą.

— Wczoraj spotkałam Hankę. Zośka — mówi do mnie — wiesz, że ten belfer tak się we mnie zakochał, że gotów jest się rozwieść z żoną?

— Jaką Hankę? Jaki belfer?

— Och, ty nie jesteś w kursie dzieła. Masz coś do wypicia?

— Skąd? Przed chwilą wróciłem z terenu.

— A ja mam piersióweczkę. Ocalała z pogromu. Poczekaj, poszukam szklaneczek.

Wróciła po chwili.

— Niestety, zdobyłam tylko jedną. Musimy się nią podzielić. Będziesz znał moje myśli.

— Bardzo czarne?

— Raczej szare. Jestem teraz wolna jak ptaszek. Mógłbyś się we mnie zakochać.

— I co by ci z tego przyszło? Ciągle jeszcze jestem żonaty.

— Jezu, pachniesz tą staroświeckością jak naftaliną. Co mnie obchodzi twój stan cywilny?

W miarę, gdy dno w butelce stawało się coraz bardziej widoczne, Zośka rozkręcała się.

— Sama mówisz o zakochaniu...

— Przecież wiesz, że miłość niejedno ma imię... Kończymy ten bal i idziemy. Zabieram ciebie na poprawiny do domu... Jeszcze u mnie nie byłeś.

— Mieszkasz na sublokatorce?

— Skończyły się sublokatorki. Teraz ja jestem panią całą gębą. I mam przyjemność zaproponować ci filiżankę dobrej kawy.

— Masz zapewne i ciekawe zbiory filateilistyczne...

— I ciepłą kołdrę, jeśli ci już o to chodzi. Przedtem jednak wejdziesz do wanny.

— Mówisz bez ogródek...

— A co będę się wdzięczyć jak gołąbek? Dallicie nam równouprawnienie. To znaczy tak jak wy latamy do pracy. Ale to my, a nie wy stoicie w kolejkach, gotujemy obiady, pierzemy pieluchy. Wy, panowie władcy, kiedy wam się tylko nadarza okazja, nie przebieracie w środkach. Wam wszystko wolno. A potem, gdy szał przejdzie, mówicie między sobą: „Znasz tę X? To stara dziwka".

— Zocha, uspokój się. Mów trochę ciszej.

— Nie mam ochoty. Raz na zawsze skończyłam z zakłamaniem. No to co? Idziemy na tę kawę? Dwa razy nie będę prosić.

Michał spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Wstali z miejsc.

— Uszanowanie państwu. — Grzecznie pożegnał ich portier.

Michał podał mu rękę i dyskretnie wcisnął w nią dziesięciozłotówkę. — Moje uszanowanie państwu. — Portier otworzył drzwi.

Na Placu przed postojem taksówek stało kilka osób. Zajęli miejsce w kolejce. „Jechać na tę kawę, czy odwieźć dziewczynę i wracać do domu?" — zastanawiał się Michał. Kiedy wsiedli do samochodu, Zośka podała swój adres. Taksówka ruszyła. Michał myślał dalej...

(cdn)